

Rok XXIV
Cena 50 gr
Wyd. A

Krakowska

ORGAN KW POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Wystawa 30-lecia PPR

DOKUMENTY TAMTYCH LAT

(INF. WL.). Jest to coś więcej niż okolicznościowa ekspozycja. Bogaty materiał faktograficzny w postaci rękopisów i maszynopisów, druków, odcisków, plakatów, afiszów, ulotek, prasy, fotografii i fotokopii, a nawet rekwizytów rzeczowych (broń partyzancka) uszeregowanych chronologicznie i problemami stwarza bardzo sugestywny obraz powstania i działalności Polskiej Partii Robotniczej na ziemi krakowskiej.

Wśród dokumentów, dotyczących PPR w okresie okupacji hitlerowskiej znalazły się archiwalne odciski i okólniki KC PPR z lat 1942-1944, z deklaracją programową partii pt. „O co walczymy”. Na oryginalnych obwieszczeniach wśród nazwisk Polaków rozstrzelanych przez hitlerowców można odnaleźć nazwiska sekretarza Komitetu Obwodowego.

Spotkanie konsula Niestierowicza z młodzieżą

(Inf. wł.) W Państwowym Domu Wczasów Dziecięcych „Pałac Tatrzański” w Bukowinie Tatrzańskiej przebywają na obozie szkoleniowo-wypoczynkowym aktywni szkolnych kół TPPR z Krakowa. Kola te rozwijają od lat różne formy działania służące poznawaniu dorobku Kraju Rad.

Młodzież krakowska aktywnie uczestniczy w konkursach recytatorskich poezji radzieckiej, w festiwalach piosenek radzieckiej, w międzynarodowym konkursie plastycznym pt. „Przyjaźń”. Spotkanie w Bukowinie Tatrzańskiej służy wymianie doświadczeń i poszukiwaniu nowych form pracy.

Wczoraj uczestnicy obozu gościli w Bukowinie Tatrzańskiej młodego gościa. Młodzież spotkała się z konsulem generalnym ZSRR w Krakowie, W. Niestierowiczem i przedstawiła mu dorobek krakowskich szkolnych kół TPPR oraz zaprezentowała specjalnie przygotowany program artystyczny. W spotkaniu, które upłynęło w bardzo miłej atmosferze uczestniczyli przedstawiciele ZM TPPR w Krakowie oraz Kuratorium. (str)

Podziękowanie

Wszystkim zakładom pracy i instytucjom, organizacjom społeczno-politycznym oraz osobom prywatnym, które przysłały życzenia z okazji Nowego Roku, składam serdeczne podziękowanie.

I sekretarz KW PZPR w Krakowie
JÓZEF KLASA

Nie są ubrani w granatowe mundury ani białe koszule. A są kolegami i kolegami. Ich pracy nie oglądamy codziennie, ba, rzadko kiedy w ogóle o niej myślimy. Tymczasem wszystko od nich zależy, a przynajmniej w dużej części — bieg pociągów. Na liniach elektryfikowanych pedzą zielone lokomotywy, ich sprawność zaś jest dziełem brygad remontowych. Wybierając więc dla prezentacji w „Gazecie” grupę dwóch zespołów kierujemy się zarówno niezwykłością ich pracy jak i faktem, że w owoch zakładach należą do grup produkcyjnych.

Oto olbrzymia hala, nie ma w niej jednak ani obrabiarek, ani taśmociągów, ani innych maszyn. Na torze przebiegającym od jednego wielkiego drzwi ku przeciwnym wjeżdżają stojaki elektryczne. Teraz należałoby powiedzieć co się wokół tej lokomotywy dzieje, co robią ludzie w jej wnętrzu, robotnicy wchodzący głęboko do kanału? Odpowiedź jest prosta: brygady elektryków i

POSTAWY

Ludzie dobrej roboty

mechaników dla przeglądów okresowych lokomotyw elektrycznych serii EU 07, pracują tutaj, tak jak codziennie. Lokomotywa elektryczna jest olbrzymim zespołem — organizmem tysięcy części metalowych i niemetalowych. Współzależność układów napędowych — elektrycznych i mechanicznych musi być idealna, tak jak

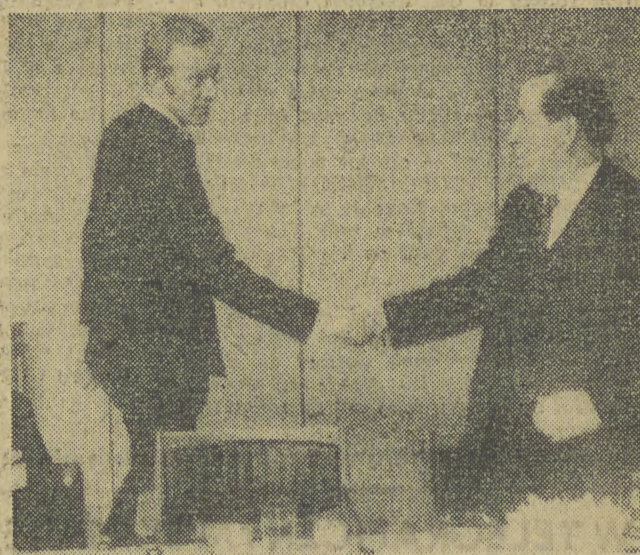


Na zdjęciu od lewej: Gabryś, Marcinkowski, Czesak, Pagacz, Baran, Śliwa, Dajnak, Cholewa, Goczał. Fot. WACŁAW KŁAS

Posiedzenie Biura Politycznego KC

Rozwój budownictwa mieszkaniowego • Aktualne kierunki działalności instancji i organizacji partyjnych

Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR w dniu 4 bm. omawiano wstępne założenia „Programu rozwoju budownictwa mieszkaniowego do 1990 roku”, który zgodnie z uchwałą VI Zjazdu, po przedyskutowaniu w gronie specjalistów i aktywistów, wniesiony zostanie na jedno z kolejnych posiedzeń plenarnych Komitetu Centralnego. W kolejnym punkcie obrad Biuro Polityczne określiło główne kierunki działalności instancji i organizacji partyjnych po VI Zjeździe i przed wyborami do Sejmu PRL. Ustalono plan pracy Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR na I kwartał 1972 r.



3 bm. zakończyły się wybory do parlamentu Finlandii. Zdecydowaną większość głosów zdobyła Partia Socjaldemokratyczna. Na zdjęciu przywódcą Koalicji Narodowej Harri Holkeri gratuluje przewodniczącemu Fińskiej Partii Socjaldemokratycznej Ratselowi Paasio. CAF — telefoto AP

Śladem narady wawelskiej

Zgodnie z postulatami Krakowa...

(Inf. wł.). Pod koniec ub. roku — 18 października odbyła się na Wawelu narada aktywistów środowisk twórczych Krakowa poświęcona omówieniu polityki kulturalnej ze szczególnym uwzględnieniem problemów lokalnych. Podczas spotkania zgłoszono szereg wniosków i postulatów koncentrujących się wokół potrzeby niezwłocznego usunięcia mechanizmów przeszkadzających w twórczym wykwstaniu atmosfery szczególnie sprzyjającej pełnemu rozwojowi kultury.

W dniu wczorajszym niejako idąc śladem wawelskiej narady odbyło się w Komitecie Wojewódzkim PZPR spotkanie, na które przybyli wiceminister kultury i sztuki Aleksander Syczewski wraz z kilkoma pracownikami Ministerstwa, zastępca kier. Wydziału Kultury KC PZPR Edmund Makuch, sekretarz KW PZPR Andrzej Czyż, przedstawiciele środowisk twórczych Krakowa, wyższych uczelni artystycznych, muzeów, wys. działów kultury.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Seminarium aktywu partyjnego

Spotkanie z Józefem Klasą

(Inf. wł.) W Państwowym Technikum Rolniczym w Mszczynie w pow. żywieckim zorganizowano 3-dniowe seminarium szkoleniowe aktywu partyjnego. Biorą w nim udział I sekretarze KZ z terenów większych zakładów produkcyjnych, pracownicy Wydziału Organizacyjnego KW PZPR oraz Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej. Bogaty program seminarium obejmuje zagadnienia związane z aktywizacją życia politycznego i gospodarczo-społecznego, zawarte w materiałach i uchwałach VI Zjazdu Partii. Studiując je, uczestnicy seminarium dyskutować będą nad formami działalności partyjnej sprzyjającej budzeniu inicjatywy społecznej, wyzwalaniu właściwej atmosfery niezbędnej dla twórczej realizacji zadań narodowych nakreślonych przez VI Zjazd.

W dniu wczorajszym rozpoczęto zajęcia seminaryjne. Na spotkanie z uczestnikami szkolenia przybył I sekretarz KW PZPR Józef Klasa. Podzielił się on z seminarzystami refleksjami z przebiegu VI Zjazdu, omówił przygotowania do kampanii wyborczej do Sejmu PRL oraz odpowiadał na szereg pytań. W czasie spotkania wywiązała się ożywiona dyskusja. (sz)

— Właśnie styczni... — mówi elektryk Stanisław Czesak — są chyba najważniejsze. One przecież decydują o dopływie odpowiedniej energii...
— A nie brakuje części zamiennych? — pytam pomny na różnego rodzaju przypadłości, właśnie w pracach remontowych.
— Nie brakuje, mamy ich dość przynajmniej w naszym (DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Już jutro w „Gazecie” rozpoczynamy druk nowej powieści



1942-1972

Urzeczywistnili marzenia pokoleń

Niewiele z nich doczekało się uznania potomnych w formie nazwy ulicy czy zakładu, wyboru na bohatera drużyny, czy harcerskiego szczerpu, bądź patrona szkoły. Nie mają Oni pomników. O wielu nie wiadomo nawet gdzie spoczęli ich prochy. Dlatego dziś, w 30 rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej, gdy oddajemy część poległym ZA SPRAWĘ, przypomnijmy niektórych bodaj nazwiska tych, którzy tak bardzo byli związani z Krakowem...

Drużynowy VI drużyny harcerskiej w Krakowie, w latach studenckich działacz lewicowej organizacji akademickiej NZAMS „Życie”, po ukończeniu studiów nauczyciel języka polskiego, łaciny i propedeutyki filozofii w szkołach średnich Borszczowa, Pińczowa, Brzeźna, Oświęcimia i Mysłowic, krytyk literacki, poeta i publicysta, działacz społeczny (współpracował szczególnie z OMTUR) o lewicowych przekonaaniach i marksistowskim światopoglądzie. Tak w najwcześniejszym skrócie przedstawiała się droga życiowa i działalność IGNACEGO FIKA do wybuchu II wojny światowej. Z chwilą powstania Polskiej Partii Robotniczej, założona przy jego współudziale już na przełomie 1939/40 r. grupa znana pod nazwą „Polska Ludowa” opowiedziała się za przystąpieniem do nowo organizowanej partii. Fik był współtędratorem organu prasowego Komitetu Obwodowego PPR „Na front”, który zmienił nazwę na „Trybuna Ludowa”. Aresztowany wraz z żoną Heleną w nocy 22/23. X. 1942 r., sturtorowany przez gestapo, został rozstrzelany w listopadzie 1942 r.

Towarzyszem Fika w konspiracji był MIFCZYŚLAW LEWINSKI, współorganizator grupy „Polska Ludowa”. Wywodził się z rodziny urzędnika kolejowego w Krakowie. Po studiach uniwersyteckich pracował jako nauczyciel w Zawierciu a następnie w rodzinnym mieście. Aktywna Krakowska Ogniska Związku Nauczycielstwa Polskiego. Zarłkowy propagator idei Frontu Ludowego w latach trzydziestych, czemu dawał wyraz w licznych artykułach publicystycznych. Od 1934 r. członek KPP. To w jego mieszkaniu w noc sylwestrową 1939 r. zapadła decyzja o powołaniu do życia pierwszej w Krakowie organizacji konspiracyjnej Wraz z Fikiem, swoją żoną i Stanisławem Szadkowskim znalazł się w składzie pierwszego kierownictwa PPR Okręgu Krakowskiego Zmarł w gestapowskim areszcie 22. X. 1942 r.

Łącznikiem Komitetu Centralnego PPR, skierowanym w pierwszych dniach lutego 1942 r. na teren późniejszego IV Obwodu (Krakowskiego) był STANISŁAW ZIAJA (Domański), który już w okresie międzywojennym, jako student Uniwersytetu Jagiellońskiego należał do aktywnych działaczy KPP. Po przybyciu do Krakowa szybko doprowadził do konferencji, która zapoczątkowała tworzenie PPR. Jako sekretarz Komitetu Obwodowego sprawował kierownictwo pracą partyjną na tym terenie. Stanisławowi Ziaji przypadła w udziale ogromna praca organizatorska w pierwszym okresie istnienia PPR. On też przyczynił się do odbudowy działalności partii w niezwykle trudnej

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

AUTORYTET — ZA JAKĄ CENĘ?

W „Gazecie Krakowskiej” nr 307 z dnia 27. XII. 1971 r. ukazał się artykuł Doroty Terakowskiej o powyższym tytule, poruszający problemy pracy społecznej i umiejętnego łączenia jej z pracą zawodową. W odpowiedzi otrzymaliśmy szereg listów, z których dziś drukujemy dwa (z pewnymi skrótami).

„WIDZĘ MOŻLIWOŚCI ROZWIĄZANIA PROBLEMU”

Artykuł red. Terakowskiej zajmuje się w zasadzie dwoma zagadnieniami: pierwsze — to sprawa ukarania sekretarza POP przez dyrektora, drugie — to jak pogodzić pracę społeczną z obowiązkami zawodowymi. W przypadku pierwszemu uważam, że tak dyrektor zakładu, jak i sekretarz KZ PZPR postąpili niewłaściwie. Budowanie autorytetu na zasadzie „kto kogo” jest sprzeczne z zasadą socjalistycznej współpracy, kierowniczą rolą partii i jednoosobowym kierownictwem w zakładzie pracy. Uważam, że dyrektor ma pełne prawo do wyciągnięcia służbowych wniosków w stosunku do pracowników, ale decyzje powinny być podejmowane kolektywnie, w oparciu o pełne i obiektywne rozważanie stawianych zarzutów. W przypadku członka partii zarzuty te powinno się przekonsultować z Egzekutywą czy całą organizacją partyjną. Takie postępowanie tworzy autentyczny autorytet tak kierownictwu administracyjnemu, jak i politycznemu i stwarza klimat zaufania. Jeśli chodzi o pracowników bezpartyjnych decyzje o ukaraniu powinny być omówione w obecności czynnika społecznego (np. przedstawiciela związków zawodowych).

Drugie zagadnienie, które red. Terakowska proponuje przedyskutować, dotyczy sposobu godzenia pracy zawodowej i społecznej. Przedstawiam swoje uwagi na ten temat z pozycji pracy Komitetów Zakładowych PZPR, w których funkcje sekretarzy pełnione są społecznie (a zatem tam, gdzie ilość członków i kandydatów nie przekracza 400 osób). Nie wiem, czy towarzyszy mi w tego typu zakładach wystarczająco czasu na społeczne działania. Wiem natomiast z własnego doświadczenia, że w zakładach typu energetycznego (a taki reprezentuję) łączenie pracy zawodowej z pełnieniem społecznej funkcji sekretarza KZ PZPR nie gwarantuje prawidłowej działalności zawodowej i społecznej. Jeśli ma się sprostać napiętnym zadaniom zawodowym — musi się zaniedbać działalność partyjną i na odwrót. Jeśli do tego dodamy zagadnienie wynagrodzenia za pracę zawodową w okresie pełnienia funkcji sekretarza KZ, musimy się zastanowić, czy istniejący obecnie system organizacyjny jest skuteczny, sprawiedliwy i na miarę realnych potrzeb.

W istniejącym systemie pracownik fizyczny pełniący społecznie funkcje sekretarza KZ z reguły traci finansowo — jeśli nie chce narażać obowiązujących przepisów bądź jeśli dyrekcja różni (nie zawsze formalnie) drogami nie zrównoważy ponoszonych strat. Dotyczy to tych, którzy przed objęciem funkcji sekretarza pracowali na normy, w godzinach nadliczbowych, otrzymywali różne dodatki itp. Poza tym z reguły w okresie pełnienia funkcji sekretarza nie otrzymuje się różnych nagród, które — gdyby nie fakt, że się zasiada przy ich rozdziale — można by otrzymać! Istnieje także obawa przed różnymi konsekwencjami służbowymi w pracy zawodowej. Obawy takie w wielu wypadkach mogą powodować formalne zatłwianie problemów, bez głębokiej i pryncypialnej oceny partyjnej.

Uważam, że sytuację tę można by rozwiązać przez przyjęcie (dla KZ poniżej 400 członków) takiej struktury organizacyjnej, jaka istnieje w związkach zawodowych. Proponuję równocześnie, żeby wynagrodzenie w okresie pełnienia obowiązków sekretarza obliczać ryczałtem z okresu poprzedzającego objęcie tych funkcji.

W niższych komórkach partyjnych (POP, OOP) pracę społeczną można łączyć z obowiązkami zawodowymi — jednak pod warunkiem, że będzie ona rozdzielona wśród wszystkich członków egzekutywy i członków organizacji. Wymaga to na pewno odpowied-

nego doboru zadań, zgodnie z możliwościami i autentycznymi potrzebami środowiska. Niewątpliwie ważna jest też wewnętrzna chęć działania, w imię społecznego interesu komórki, w której się pracuje. Nie wolno również zapominać o tym, że zbyt duża ilość pełnionych funkcji przez jedną osobę musi zachwiać równowagę między obowiązkami społecznymi i zawodowymi — a to z kolei doprowadza do sytuacji, o których red. Terakowska pisze w swoim artykule.

Odrębne zagadnienie to zbyt rozbudowany system protokołów, sprawozdań, ocen, informacji, uchwał, nierazko tylko formalnych szkoleń. Prowadzenie tych dokumentów pochłania dużo czasu, nie każdy potrafi je redagować (np. działacze-robotnicy). System ten zniechęcił już wielu, którzy, gdyby nie owe „papierki”, mogliby działać na co dzień, reagując na negatywne zjawiska bez zbędnej biurokracji.

Chciałbym też dodać, że przedstawione uwagi wynikają z moich własnych doświadczeń zdobytych w ZWM, ZMP i PZPR. W organizacjach tych od 1945 r. pełniłem i pełnię różne funkcje. Z zawodu jestem kierowniczym dzwigników samodzielnymi i pełnię obowiązki sekretarza KZ PZPR już drugą kadencję. Uważam, że dobrze się stało, iż red. Terakowska podjęła ten temat. Jest faktem bezspornym, że o tych sprawach mówią towarzysze w mniejszych organizacjach. Borykają się one z tymi zagadnieniami, nie mogą sprostać wszystkim obowiązkom. Dlatego przyjąłem zaproszenie do dyskusji.

ANTONI KOZIOL
Zakład Energetyczny — Tarnów

WYSTĘPIAMY Z OTWARĄ PRZYŁBICĄ

Wierzę w słowa Pani Redaktor, że uczelnia miała wielu, tylko w minionych latach część spośród nich straciła odwagę. Lata jednak mają najlepsze warunki po temu by ją na nowo odzyskać. Odwaga znowu jest w cenie.

Tak na pewno będzie, ale na razie w naszej powiatowej Polsce jeszcze nie wszędzie tak jest. Znam „społeczniaków”, którzy siedzą w kleszeni u dyrektora zakładu i nigdy nie stawili czoła jego niesłusznym decyzjom. Znam ludzi, którzy powodowani strachem pisał anonimowo w słusznych sprawach — ponieważ boją się złożyć podpis pod listem, z obawy przed konsekwencjami służbowymi. Nikt nie będzie pisał anonimów. Jeśli stworzy się warunki do rzetelnej krytyki.

Nazbyt wielu ludzi przyjęło sobie niezastępienie miano działacza społecznego, wielu ma wypalone pojęcie o pracy działacza społeczno-politycznego; uważają, iż mogą nie robić w zakładzie, tylko brać udział w posiedzeniach, planach, egzekutywach — i zabierać cenny czas innym „dretwą mową” na znaną nutę polemiki bezsensownej. Inni w tym czasie ciężko pracują.

Dobrze się stało, że temat ten poddaje się pod publiczną dyskusję. Wierzę, że materiał, jaki redakcja otrzyma, pozwoli na właściwe zrozumienie pojęcia pracy społecznej.

Być członkiem partii to na pewno poważne zobowiązanie wobec społeczeństwa. Być czynnym społecznikiem — to cecha pozytywna własnego ja. Być matrym i rozumnym działaczem — a nie „pyskaczem” za wszelką cenę — to największe zalety.

Występowanie z otwartą przyłbicą przeciwko wszelkiemu złu, to obowiązek patriotyczny partyjnych i bezpartyjnych, starych i młodych Polaków.

Stwarzajmy nadal dogodne warunki do rzetelnej krytyki, gdyż tylko przy ścieraniu się poglądów można mówić o pełnej odwadze.
ZBIGNIEW SIKORA
mieszkaniec pow. chrzanowskiego
(opracowanie: ter.)



Ratownicy z kopalni „Siersza”. Fot. B. Kłob

Propozycje wzięte z życia

LEKARSKI ZNACZEK

JACEK ŻUKOWSKI

Na postój nie było ani jednej taksówki. Stała natomiast spora grupa czekających. W momencie, gdy właśnie nadjeżdżała taksówka przysiadł na postój zdyszany mężczyzna. Wymijając kolejkę, w pośpiechu tłumaczył: — Proszę mnie przepuścić poza kolejnością. Jestem lekarzem. Otrzymałem pilne wezwanie do szpitala.

Nie pomogły wyjaśnienia. Dwóch młodzieńców już się pakowało do taksówki. Reszta z „kolejki” też nie była przychylna do lekarza.

— Każdy tak może powiedzieć — jestem lekarzem, mnie się spieszy. Wszyscy nam się spieszy.

Mężczyzna odszedł w stronę tramwaju, nie podejmując dyskusji.

Czynimy to za niego, niejako w imieniu stępię lekarzy, którzy czas w nagłych przypadkach jest po prostu bezcenny. Kierownik pogotowia ratunkowego został wezwany z domu — skomplikowany wypadek! Nie było nawet czasu na podanie karty. Złapał więc przygodny samochód i... już na pierwszym zakręcie, został zatrzymany przez milicjanta. Przekroczenie szybkości...

Nim lekarz zdolał wytłumaczyć powód złamania przepisów, nim kierowca okazał dokumenty, poddane skrupulatnym oględzinom — nim wyjaśniło się, że to żadne „wożenie na lebkę”, lecz pomoc w nagłym wypadku, upłynęło kilka drogowych minut.

Podobne sytuacje zdarzają się lekarzom na ulicach i drogach w całym kraju. Zdarza się, zwłaszcza w terenie, że lekarz wezwany do nagłego wypadku (odwoływanego do pomocy pogotowia nie zawsze jest możliwe) bezskutecznie usiłuje na drodze zatrzymać przejeżdżające samochody. Mijają go obojętnie, sądząc, że to przygodny pasażer lub autostopowicz. Bywało już i tak, że wiożenie białego fartucha lekarskiego sygnalizowało kierownicy, iż powinien się zatrzymać.

Ale przecież można by zastosować znacznie praktyczniejszy i skuteczniejszy sposób — znak lekarski, którego pokazanie zobowiązałoby kierowców wszelkich pojazdów do zatrzymania się, który by zobowiązywał do udzielenia pomocy jego okazielowi. Znak — otwierający zieloną drogę — podobnie, jak sygnał „na hasło ratunek”. Oczywiście, trzeba założyć, że byby on używany tylko na zasadzie wyjątkowych okoliczności.

Rozmawiałem na ten temat z lekarzami. Nie miał każdy z nich doświadczeń tego na sobie, że gdyby w danej sytuacji posiadł, respektowany, usankcjonowany, obowiązujący przepisem znak lekarski — mógłby znacznie szybciej dotrzeć z pomocą do oczekującego ratunku pacjenta.

Te dwa słowa — znaczenie — szybkości — oznaczałyby niecierpiący wyścigu ze śmiercią. Ocalenie. Wysuwany argument, iż posiadanie lekarskiego znaczka mogłoby go wykorzystywać do celów prywatnych, nie może być traktowany poważnie. Zakładanie z góry nieuczciwości jest bezpodstawne. A nawet, jeśli zdarzył się taki przypadek — to szkoda społeczną byłaby niewspółmiernie mała (a praktycznie żadna) w stosunku do pożytku, wynikającego z faktu uprzywilejowania lekarzy, umożliwiającego im spieszenie z natychmiastową pomocą.

Poza tym, oznakowanie odpowiednim symbolem aut lekarskich mogłoby znacznie usprawnić działalność służby zdrowia. Ten problem wysuwają zarówno lekarze, oficerowie milicji z Komendy Ruchu Drogowego, jak i sami pacjenci. Zdarza się, że lekarz przyjeżdża na wizytę do chorego własnym autem. Zdarza się, że nie może go zaparkować bliżej przed domem pacjenta, bo akurat w tym miejscu obowiązują zakazy postój. Podobnych sytuacji jest więcej. Wprowadzenie odpowiedniego przepisu, który dawałby przywileje samochodom z znakiem lekarskim — uprościłoby niejedną skomplikowaną sytuację, służyłoby przede wszystkim sprawie ludzi chorych, oczekujących pomocy lekarza. W wielu krajach istnieją takie przepisy, a lekarze — na swych autach mają odpowiedni znak orientacyjny.

Proponuję — aby i w naszym kraju wprowadzić taką zasadę.

Niby drobiazgi, a ileż może przynieść korzyści. Zgłaszam tę propozycję „wziętą z życia” pod rozwagę odpowiedniej komisji sejmowej. Jej realizacja ma być dobrą stroną, że nie kosztuje, a pozytywne skutki, jakie by przyniosła, chyba są oczywiste dla każdego.

ANDRZEJ STANOWSKI

ISKIERKA

DOPÓKI

NADZIEI

Nocna zmiana zjechała na dół. Na oddziale VIIIa kopalni „Siersza” górnicy sposobili się do pracy. „Schyliłem się po kilof — wspomina Franciszek Żyła — gdy nagle usłyszałem straszliwy huk, zobaczyłem stęp ognia. Pęd powietrza rzucił mnie na ścianę. Usłyszałem ciche kroki. Patrząc — przede mną leci Janek Karz na bosaka. W tym momencie myślałem tylko o ucieczce, żeby być jak najdalej od wypadku. Kiedy trochę ochłonąłem, uświadomiłem sobie, że kolo mnie — może ze 2-3 m — stał przeciętnie młody człowiek. Wróciłem w to miejsce — krzyżując: «Marian!». Cisza. Przypomniałem sobie, że do naszej ściany było drugie doświadczenie — od wodnego chodnika. Skrzyknąłem 3 kolegów: Dudka, Kosowskiego, Siniaka i idziemy. Patrzmy — jest Marian. Przywalony głazami piaskowca i potłuczonymi stemplami, ledwie mu głowę widać. Wola: «Ratujcie, koledy». Oj, nietawo było go wyciągnąć z tej «pułapki». Ogrzewając ręce znalazły piaskowca wciągnąłem się pod Mariana. Ostrożnie, żeby ta cała «konstrukcja» nie runęła na nas obu — zabrałem się do usuwania stempli i skalnych odłamków. Na dodatek bryła węgla przycisnęła chłopu rękę. Nożem wydrapałem więc węgla. Ostrożnie — bo nie wiedzieliśmy wówczas, czy Marian nie ma jakichś poważniejszych obrażeń, położyliśmy go na desce i wolniutko wyciągnęliśmy. Na szczęście poza potłuczonymi nie Marianowi się nie wydarzyło. Nawet ręka była nie złamana”.

Kiedy następnego dnia w miejscowym szpitalu odwiedziłem Mariana Rejdycha — czuł się już zupełnie dobrze — poza ogólnymi potłuczeniami nie stwierdzono żadnych urazów. — To Franek uratował mi życie — mówi Marian Rejdych. Gdy przyważył mnie — myślałem, że to koniec. Ale kiedy pierwszy szok minął i zobaczyłem, że jestem na granicy zawału — wierzyłem, że koledy mnie odnajdą. I rzeczywiście, po kilku minutach zobaczyłem Franka”.

Marian Rejdych i jeszcze trzech innych jego kolegów, którzy zdążyli uciec ze ściany — mieli szczęście. Ale w zawałe zostało czterech górników. Kierownictwo kopalni zarządziła natychmiast akcję ratunkową. Wypadek wydarzył się o godz. 1.50 w nocy, a już kilka minut po godzinie 2 na dół są ratownicy. Pierwsza lustracja zawału — nie wypadła pozytywnie. Obrzynie bloki skalne dokładnie wypłynęły całe wyrobisko. Stalowe filary o wytrzymałości 40 ton leżą polamane jak zapalki. Gdzieś pod tymi skalnymi blokami są ludzie. Tylko gdzie? Ważny jest każdy, najdrobniejszy nawet, szczegół. Pierwszych informacji dostarczają uratownicy górniczy. Kierownictwo akcji ratunkowej decyduje: ratownicy przekopywać będą zawał z 3 stron.

Rozpoczyna się akcja. Górniczy centymetr po centymetrze wdziera się w skalne rumowisko. Mimo ogromnego wysiłku — praca idzie wolno. Trzeba mozolnie — w pozycji leżącej — wybierać gołymi rękami okrucy skalne. Trzeba to robić z wielką ostrożnością — jeden nieopatrzny ruch i ratownik może sięgnąć na siebie lawinę skalną. Praca wyczerpuje fizycznie i psychicznie — ratownicy zmieniają się wiece co 10 min.

Kiedy przyjechał do kopalni „Siersza” — było to 14 godzin po wypadku — ekipy ratownicze dotarły już do pierwszego z zaspanych górników. Nie żył. Lekarze orzekli: poniósł śmierć na miejscu w momencie zawału. Akcja ratownicza ani na moment nie zwalnia tempa. Na dół pracuje stale 10 zastępów ratowniczych (każdy zastęp składa się z 5 ludzi i mechanika). W kopalnianej stacji ratowniczej czuwają bez przerwy dwa rezerwowe zastępy. Jest godz. 22. Z dołu wyjeżdża zastęp ratowników z kopalni „Komuna Pańska”. Pospieszili na ratunek jedni z pier-

wszych. Przyszli pomóc w ratowaniu kolegów wprost po zakończeniu dnia. — Zawał jest ciężki — mówi zastępowy Marian Biela. — Skąty trzeba wybierać gołymi rękami — dobrze, że udało się po południu uruchomić przenośniki. To trochę ułatwia pracę. — Czy jest nadzieja na uratowanie zaspanych? — pytam. — Do końca należy walczyć — mówi Ryszard Piętosz. Inni dodają: — Choćby istniała jedna szansa na tysiąc — nie wolno kapitulować, kiedy w grę wchodzi życie ludzkie.

Na górze w budynku dyrekcji mieści się sztab akcji ratowniczej. W dyspozytorni przy pulpicie Wacław Radosz. Ma łączność ze wszystkimi oddziałami kopalni, 4 stałe połączenia z bazą akcji na dół. Właściwe kierownictwo całej akcji znajduje się obok w pokoju za sztabem. Przepis mówi bowiem, że dyspozytor i kierownik akcji muszą mieć ze sobą łączność wizualną. Tu zapadają decyzje, stąd wychodzą polecenia, rozkazy. Decyzje są konsultowane w szerokim gronie — na miejsce przybyło wielu wybitnych specjalistów.

Akcja trwa już blisko dobę. Twarze ludzi stają się coraz bardziej szare, oczy zaczerwienione. Niekiedy są już na nogach bez przerwy od chwili wypadku. Nastroj nerwowości. I niepewności. Tuż przed północą z dołu nadchodzi sygnał — ratownicy dotarli do zwłok drugiego górника. Ale nikt nie rezygnuje. Nowe zastępy ratowników zjeżdżają na dół — tam jest jeszcze dwóch współtowarzyszy...

Kilka godzin snu i wracam do kopalni. Nie ma żadnych nowych wiadomości. Ratownicy posuwają się naprzód, ale nie w takim tempie, jakby tego sobie wszyscy życzyli. Skala jest twarda i oporna. Na niektórych odcinkach w ciągu półtorę do dwóch godzin ratownicy posuwają się zaledwie o kilka-kilka centymetrów. Kierujący obecnie akcją naczelny inżynier Stefan Fajak wyjaśnia mi: — Zaczęliśmy siatkę chodników. Trzeba jednak bardzo uważać, żeby nie naruszyć stropów. Chodniki są bardzo wąskie o ograniczonej szerokości. Wszystko to niezmiernie utrudnia akcję. Zadzwonił telefon. — Znaleźliśmy kilof — meldował ktoś z dołu. — No to ustalcie czyj. I szukajcie w jego sąsiedztwie — pada odpowiedź.

Miałem pytać inżyniera o dalsze szczegóły, ale zrezygnowałem. Poczuliem się nagle jak intruz. Kiedy tam idzie walka o życie, kiedy ważny jest każdy najdrobniejszy nawet szczegół — moje pytania wydały mi się natrętne i głupie. Wyszedłem i wówczas — chyba tak po raz pierwszy naprawdę — uświadomiłem sobie jak mało do tychczas znałem ludzkie reakcje. Kiedy rozmawiałem z uratowanymi górnikami, szukałem w ich postawach dramatycznych zwrotów spowodowanych nieodczuwaniem sytuacji. A tymczasem Franciszek Żyła, kiedy zapytałem go: — No to co, nie pójdziesz pan już do kopalni? — odpowiedział najspokojniej w świecie: — A dlaczego miałbym nie iść? Jeszcze dziś pójdę na noc do pracy pomóc kolegom. Powiedział to całkiem naturalnie. W jego głosie dało się jednak wyczuć pewne zdziwienie, że pytam o rzeczy — dla niego — tak oczywiste. A żona Franciszka Żyły skomentowała to tak: Skoro wybrał sobie taki zwyczaj — nie nie zmienimy.

Po 36 godzinach akcji ratownicy odkopali zwłoki trzeciego z zaspanych górników, a po dalszych 14 godzinach dotarli do 5-stajnej ofiary wypadku. 50 godzin trwała akcja ratownicza. Przy użyciu najnowocześniejszego sprzętu, przy udziale najlepszych ludzi i fachowców. Tym razem człowiek przeobraził walkę. Ale — jak powiedział prof. B. Kropiński — nie zwalnia nas to z obowiązku dokładnego zanalizowania całej sytuacji. Wnioski trzeba wyciągnąć. Po to, by zabezpieczyć życie innych.



TEMATY FILMOWE

„Honor samuraja”

Kinematografia japońska nie posiada u nas zbyt wielu miłośników — za to ci, którzy nimi już są, pozostają na długo wierni jej trudnemu urokowi, egzotyce, a nawet specyficznemu okrucieństwu. Niewątpliwie dwa największe nazwiska japońskich twórców filmowych to Kurosawa („Rasomon”, „Siedmiu samurajów”) i Kobayashi („Harakiri”, „Bunt”). Oni też zapoczątkowali sławne „kino samurajskie”, realizując pełne ekspresji eposy z życia japońskich wojowników. W ślad za nimi temat ten podjęli inni realizatorzy, ale już z mniejszymi sukcesami — zbyt bowiem przywleciała im idea sukcesu kasowego, by filmy mogły odznaczać się większymi walorami artystycznymi. W takich przypadkach samurajskie motywy wykorzystywane były po prostu dla sensacji.

Nie da się ukryć, że film Hideo Goshi pt. „Honor samuraja” również należy do utworów wtórnych wobec wielkich arcydzieł Kurosawy, czy Kobayashiego, niemniej posiada on swoje zalety. Goshi nie uległ pokusie komercjalizmu, nie przerodził samurajskiego eposu w sensacyjny film przygodowy. Choć nie wniośł niczego nowego do tego gatunku, niemniej jeszcze raz przypomniał wszystkie tradycyjne elementy samurajskiej ballady — a uczynił to w sposób zręczny i poprawny warsztatowo. Więcej — dzięki operatorowi Kozo Okazaki i jego niezwykle pięknym zdjęciom, udało mu się stworzyć w filmie ów specyficzną dla dobrych japońskich dzieł kinematografii klimat: klimat niepokoju z jednej strony, a poddania się pełnej tragizmu poetyce życia i walki japońskich samurajów — z drugiej.

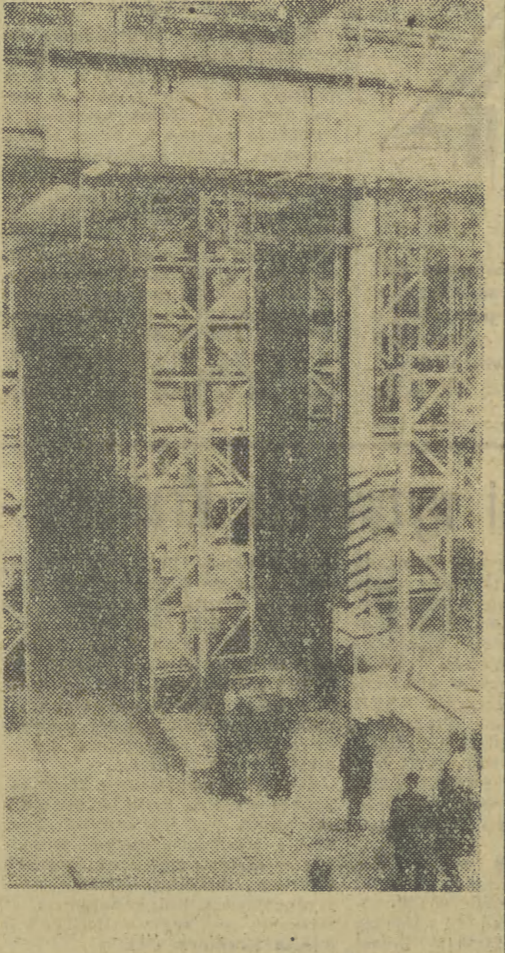
Jak w każdej balladzie o samurajach, tak i tu mamy do czynienia z bohaterem, który — ryzykując własnym życiem — staje w obronie słabszych. Goshi wprowadza do swego filmu wartościowe akcenty społeczno-historyczne. Rzecz dzieje się w 1831 roku. Stary samurajski ród Sabai znajduje się u progu ruiny, dzięki twardej rządom sioguna. Aby uratować swoją pozycję, z inicjatywy głowy rodu, Tatewaki, samuraje klanu Sabai schodzą na drogę rozboju — by w ten sposób podreperować rodzinne finanse. Napadają zatem na statek sioguna, wiozący cenne sztaby złota — a chcąc, by wieść o tym pozostała w tajemnicy, mordują miejscową ludność, złożoną z ubogich rybaków, którzy byli świadkami obrabowania statku. Proceder okazuje się na tyle intrygujący, iż ród Sabai zamierza nadal rabować statki sioguna, których trasa przebiega koło rybackich wsi na terenie ich majątkowości. Wśród samurajów rodu Sabai znajduje się jednak Magobei — jedyny, który uważa, że ten sposób ratowania honoru rodu jest zwykłym morderstwem, popełnianym na rybakach. Magobei, nie znajdując zrozumienia u Tatewaki, staje do samotnej walki przeciw niemu i całemu samurajskiemu klanowi. Tu właśnie rozpoczyna się akcja filmu — zwrócić przerwana retrospektywnymi scenami, ilustrującymi powody tragicznej walki Magobei z własną rodziną.

„Honor samuraja”, jak już wspomniałem, choć nie wnosi niczego nowego do tego gatunku filmowego — wart przecież jest obejrzenia, bowiem próbując nawiązywać do najlepszych tradycji kina Kurosawy, niczym nie uraża naszego smaku (pod warunkiem, że lubimy japońskie filmy). Zarazem ponieważ jest to obraz znacznie łatwiejszy w odbiorze od filmów Kurosawy, zachęcam do obejrzenia go, tych przeciwników japońskiego kina, których niechęć nie jest zbyt silna. Może po obejrzeniu tej samurajskiej ballady będą zdolni je polubić?

DOROTA TERAKOWSKA

Z taśmy montażowej FSO 30 grudnia ub. r. zszedł ośmiolitonowy samochód osobowy, wyprodukowany w tej fabryce. Równocześnie przekazywany tu został do użytku najnowocześniejszy w kraju magazyn części potrzebnych do montażu samochodów. Magazyn wyposażony jest w urządzenia elektroniczne, dające m. in. aktualny obraz stanu części w magazynie. Na zdjęciu: fragment nowego magazynu.

CAF — Langda



POMNIKI DAWNEJ TECHNIKI

O interesujących inicjatywach terenowych informuje mgr inż. Jerzy Jasiuk z Pracowni Historii Techniki Muzeum Techniki NOT w Warszawie

— Muzealnictwo techniczne wraz z ochroną zabytków techniki zyskuje cennego sprzymierzonego, jakim jest społeczny ruch ochrony zabytków techniki. Wiąże się to z szeregiem bardzo ciekawych inicjatyw, z których warto przedstawić niektóre, znajdujące się już w realizacji.

I tak, Towarzystwo Miłośników Augustowa wystąpiło w końcu ub. roku z ideą zorganizowania Muzeum Kanału Augustowskiego, które ukaże historię powstania kanału, jego budowę i eksploatację. Kanał Augustowski, zbudowany w pierwszej połowie XIX wieku, był jedną z największych ówczesnych inwestycji, nie tylko pod względem technicznym, ale i gospodarczo-ekonomicznym. Budowa została zaplanowana z rozmachem, a rozwiązania techniczne odpowiadało lokalnym warunkom — zarówno co do przebiegu całego kanału, jak i konstrukcji poszczególnych elementów.

O solidności wykonania i jakości użytych surowców świadczyć może fakt, że gdy podjęto remont kilku śluz zniszczonych w czasie działań wojennych i odbudowano je według obecnych technologii, to okazało się, że właśnie konstrukcje z ubiegłego stulecia były lepiej dostosowane do warunków lokalnych.

Kanał Augustowski jest bardzo ciekawym zabytkiem techniki. Jednym z głównych jego projektantów był generał Ignacy Prądzyński, bohater powstania Listopadowego. Kanał przetrwał kilka wojen — i służy do dziś żeglu-

dze — z tym, że nie ma już dawnego znaczenia gospodarczego. Dlatego też bardzo interesujące i warte poparcia są zamierzenia Towarzystwa Miłośników Augustowa: utworzenie muzeum poświęconego Kanałowi.

Wstępne kroki organizacyjne zostały już podjęte — i jeśli władze lokalne okażą większą pomoc — być może już niedługo Muzeum Kanału Augustowskiego z siedzibą w Augustowie będzie jeszcze jedną atrakcją tych pięknych okolic, oferującą oprócz ekspozycji muzealnej przejażdżkę kanałem.

W innej części Polski — w województwie bydgoskim — grono działaczy społecznych z powiatu żnińskiego postanowiło utworzyć Muzeum Kolei Wąskotorowych. Będzie to pierwsze polskie muzeum kolejowe po wojnie, gdyż przedwojenne na Nowym Zjeździe w Warszawie zostało zniszczone w czasie działań wojennych.

„Baza” przyszłego Muzeum będzie kursująca między Żninem a Wenecją kolejka wąskotorowa, zbudowana dla potrzeb tamtejszej cukrowni i uruchomiona w 1895 roku, która obecnie traci swe znaczenie. Aby nie zmarnować taboru i zaplecza, wysunięto projekt organizacji Muzeum.

Projekt zyskał poparcie Ministerstwa Komunikacji i do zbiorów przyszłego Muzeum przekazano już kilka wagonów osobowych i towarowych oraz lokomotywę z 1906 roku. Gromadzi się też drobne akcesoria kolejarskie i — jak przewidują plany — pierwsza

ekspozycja Muzeum Kolei Wąskotorowych ma być otwarta na jesień przyszłego roku. Siedziba Muzeum znajdować się będzie w Wenecji koło Żnina, u stóp starego zamczyska. Oprócz wystawy zwiedzający będą mogli przejechać się kolejką wąskotorową wzdłuż jeziora Żnińskiego, od Wenecji do Biskupina, a przystanek końcowy znajdować się będzie ok. 100 metrów od rezerwatu archeologicznego w Biskupinie — co stanowić będzie dodatkową atrakcję.

Organizacji Muzeum patronuje Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Żninie, a jej wiceprezidentem, inż. Tadeusz Rządowski jest przewodniczącym komitetu organizacyjnego.

Natomiast w Tarnowskich Górach powstaje z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Ziemi Tarnogórskiej Muzeum Kruszców w dawnej kopalni ołowiu. Prace nad zaadaptowaniem kopalni i budową pawilonu muzealnego są już bardzo zaawansowane. Wykonano m. in. prace zabezpieczające w 1300-metrowym ciągu komór i chodników przeznaczonych do zwiedzania, a pochodzących z końca XVIII wieku. Pawilon muzealny, wystawiony nad kopalnią, będzie najnowocześniejszym obiektem tego typu w Polsce. Po zwiedzeniu ekspozycji obrazującej bogatą historię tarnogórskiego górnictwa kruszcowego, zjeżdżać się będzie do kopalni, w której jedną z atrakcji ma być przejażdżka lodnią po sztolni wodnej.

Muzeum Kruszców w Tarnowskich Górach zapowiada się jako jedna z ciekawych placówek muzealnych w Europie, gdzie dotychczas w starych i już nieczynnych kopalniach jest tylko kilka muzeów — zaliczając do nich słynne polskie Muzeum Żup Solnych w Wieliczce.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Tarnogórskiej pomaga w realizacji tego projektu Wojewódzka Rada Narodowa w Katowicach. Wielkie zasługi ma też m. in. wiceprezes Towarzystwa i przewodniczący sekcji odbudowy kopalni — p. Czesław Piernikarczyk.

LICZY SIĘ KAŻDA INICJATYWA

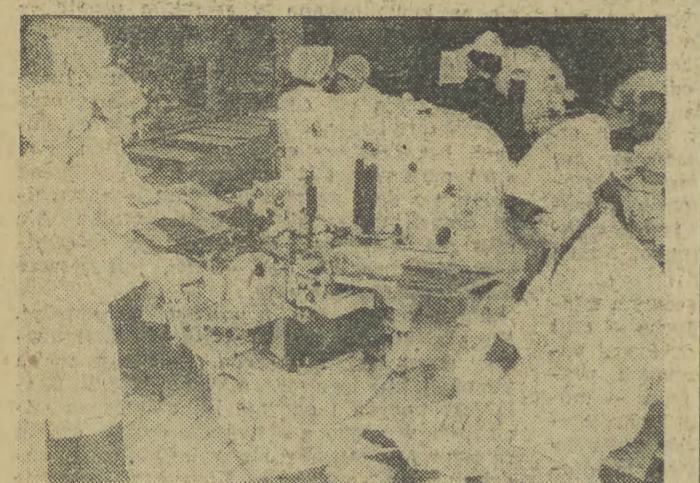
Plany dyktowane potrzebami rynku

Co zmieniło się u was od nowego roku? — z takim pytaniem dziennikarze PAP zwrócili się do dyrektorów...

„Zyskałmy szereg uprawnień, które pozwolą nam bardziej elastycznie przystosować się do bardziej zmieniających potrzeb rynku...”

Wiele obiecuje sobie, po zwiększeniu liczby pracowników o ponad 200 osób — dyrektorka „VISTULI”.

Wartość sprzedaży fabryki kosmetyków „POLLENA — MIRACULUM” wyniosła w ub. roku, licząc według cen...



ZPC „Wawel” dostarcza w tym roku na rynek znacznie więcej niż w poprzednim czekoladek „Danusia”, „Malaga”, „Kaszany” oraz cukierków obelwanek czekoladą.

Pięknie z pożytecznym

Blisko 90 dzieci pracowników Przedsiębiorstwa Budowy Zakładów Chemicznych „Chemobudowa” w Łodzi...

Nie wszyscy wiedzą, że przy ul. 1 Maja 2 w trudnych warunkach powstaje bar „Bistro-Wagan”.

Tragiczna śmierć dwojga dzieci

Tragiczny wypadek miał miejsce wczoraj o godz. 15.55 przy ul. Krakowskiej 36 w mieszkaniu nr 8.

Szkola Rodzenia zaprasza

Szkola Rodzenia zaprasza panie w ciąży i ich mężów do sali Zw. Zaw. Pracowników Służby Zdrowia...



Dziękujemy za współpracę p. Henryku

nia bezpośrednio p. Henrykowi. Zdarzało się nieraz, że teksty spisywały niemiernie, a to, na ile wieczorem przyszła...

Takiej roboty ze świecą by szukać

rownik budowy Zenon Pleśnia. — Na dodatkowe zlecenie wykonujemy instalacje. Nawet ten zamierzony projekt ciągle ulega zmianom.

Krakowskim uczelniom

Rosną piętra, «skrzydła», pawilony

Kraków jest jednym z większych ośrodków akademickich w kraju. W kilkunastu wyższych uczelniach kształcą się ponad 35 tys. studentów.



Wybitni fotograficy

Na życzenie wyrażane przez wielu fotografatorów regionu krakowskiego, podczas pierwszego w bieżącym roku...

Klub Miłośników Muzyki

zaprasza na Jubileuszowy 250 wieczór, który odbędzie się w czwartek o godz. 18.30 w Domu Kultury Huty im. Lenina w Nowej Hucie...



„Płyn „Dorado”, róż na policzki w trzech kolorach, cienie do powiek oraz kredki do warg o niepowtarzalnym połysku, to kilka nowości fabryki kosmetyków „Miraculum” roku 1972.

Dziś pytanie — jutro odpowiedź

209-95 oraz 235-60 wewn. 35 społeczną trybuną miasta

Od kilku tygodni — żądna z 13 lamp oświetleniowych zainstalowanych przy ul. Wiłenskiej nie zapala się wieczorami.

za budynkami — jednak nasze pomalowane nie zostały wzięte pod uwagę.

W Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej poinformowano nas, że w przedmiocie troski są ludzie, a nie zwierzęta...

Wieliczka — Górnik: Unikaj ostatni Mohikanin SKAWINA — Junak: Plac Czerwony ZOO (Las Wolski): codziennie od godz. 9 do zmroku.

Woda dla Krakowa? czyli inżynier rurociągi prowadzący do Raby ma przechodzić przez teren sąsiednich parcel w Koźmicach Wielkich...

WAWEL: (9-14.15). SUKIENNICZKI: (10-15). SZOLAJSKICH: pl. Szczepański 9 (10-15). DOM MATEJKI: Floriańska 4 (10-15). NOWY GMACH: al. 3 Maja 1 (12-18).

Wystawy

WAWEL: (9-14.15). SUKIENNICZKI: (10-15). SZOLAJSKICH: pl. Szczepański 9 (10-15). DOM MATEJKI: Floriańska 4 (10-15).

Wydawnictwa

WAWEL: (9-14.15). SUKIENNICZKI: (10-15). SZOLAJSKICH: pl. Szczepański 9 (10-15).

Diagnostyka

CHIRURGICZNY: Prądnicka 35. LARYNGOLOGICZNY: Kopernika 23. NEUROLOGICZNY: Prądnicka 35.

Pogotowie

Siemiatkowskiego 1, wypadki 09 zachorowania i przewozy 389-50 Podgórze 625-50 657-57 Grzegorzki 209-01, 203-77 Nowa Huta 422-22 417-70

APTEKI

Floriańska 15, Rakowicka 12, Batortego 1, Waryńskiego 24, Kościuszki 18 (tlen), pl. Boh. Getta 11, N. Huta: os. Wandy 23, os. Na Stoku bl. 1.

RADIO

8.08 w naszym domu, 8.22 w kraju i na świecie, 8.30 Koncerti żywych, 8.45 Propagujemy, informujemy, 9.00 Radiotelegraf dzwoniący...

Szlakiem wyzwolenia Krakowa

...pod takim hasłem Komisja Turystyki Pielęgniarskiej przy Krakowskim oddziale PTTK oraz kolo zakładowe PTTK nr 49...

TEATR SŁOWACKIEGO (pl. Duchna 1) Anouilh: Drogi Antoni — 19.15, STARY Jagiellońska 13: Sześciu Wszystko dobrze, co się dobrze...

KINA APOLLO: Arabeska (ang. 14 lat) — 10.15, 12.15, 14.15, 16.15, 18.15, 20.15, 22.15, 24.15, 26.15, 28.15, 30.15, 32.15, 34.15, 36.15, 38.15, 40.15, 42.15, 44.15, 46.15, 48.15, 50.15, 52.15, 54.15, 56.15, 58.15, 60.15, 62.15, 64.15, 66.15, 68.15, 70.15, 72.15, 74.15, 76.15, 78.15, 80.15, 82.15, 84.15, 86.15, 88.15, 90.15, 92.15, 94.15, 96.15, 98.15, 100.15

TELEWIZJA PROGRAM I 9.00 Teleferia, 10.00-10.10 Przerwa, 10.10 Katarzyna Aragońska — z s.: „Sześć dni Henryka VIII”...

TELEWIZJA PROGRAM II 16.55 Program dnia, 17.00 Polski film dok. 17.40 Włoskie koncerty...

WYSTAWY WAWEL: (9-14.15). SUKIENNICZKI: (10-15). SZOLAJSKICH: pl. Szczepański 9 (10-15).

WYSTAWY WAWEL: (9-14.15). SUKIENNICZKI: (10-15). SZOLAJSKICH: pl. Szczepański 9 (10-15).

WYSTAWY WAWEL: (9-14.15). SUKIENNICZKI: (10-15). SZOLAJSKICH: pl. Szczepański 9 (10-15).

WYSTAWY WAWEL: (9-14.15). SUKIENNICZKI: (10-15). SZOLAJSKICH: pl. Szczepański 9 (10-15).

WYSTAWY WAWEL: (9-14.15). SUKIENNICZKI: (10-15). SZOLAJSKICH: pl. Szczepański 9 (10-15).

WYSTAWY WAWEL: (9-14.15). SUKIENNICZKI: (10-15). SZOLAJSKICH: pl. Szczepański 9 (10-15).

WYSTAWY WAWEL: (9-14.15). SUKIENNICZKI: (10-15). SZOLAJSKICH: pl. Szczepański 9 (10-15).

Magazyn studencki

W NUMERZE: Jan Otałęga — MIASTU GROZIŁA ŚMIERĆ; Elżbieta Andrzejowska — STUDENCI A OCHRONA ŚRODOWISKA; Ewa Baran — PLANY AMBITNE I TRUDNE; Adam O. Klekotko — PAN DZIEKAN PROSI; Janusz Korzeń — O ZATRUDNIENIU ARCHITEKTÓW; Ludwik Gadzicki — DO JUBILEUSZU JEDEN KROK; Krzysztof Wojnar — ROZMOWA Z EWA DEMARCZYK.

**JEDNODNIÓWKA
RO ZSP
W KRAKOWIE**

**WYDAJE
ZESPÓŁ KLUBU
DZIENNIKARZY
STUDENCKICH**

STYCZEŃ 1972 r.

O integrację «psychiczną»

Dyskusje na temat roli nauki w życiu społecznym i gospodarczym kraju i regionu toczyły się od wielu miesięcy we wszystkich ogniwach krakowskiego środowiska naukowego i objęły najważniejsze, węzłowe zagadnienia nurtujące to środowisko. Komitet Wojewódzki PZPR w Krakowie, doceniając rangę nauki w obecnym okresie, te właśnie problemy poddał plenarnym obradom, które odbyły się w dniu 22 grudnia 1971 r. Wynikiem ich jest uchwała „W sprawie dalszego rozwoju krakowskiego ośrodka naukowego i wzrostu jego roli w życiu społecznym i gospodarczym”.

Sama jednak uchwała, choć mieści w sobie doniosłe wskazania, musi być zrealizowana, a to zależy od stopnia zrozumienia i zdyscyplinowania całego środowiska naukowego w Krakowie. Pomimo wielu osiągnięć, jakie zanotowały na swoim koncie ośrodki naukowe w naszym kraju, bliższy obserwator pracy i zachodzących zjawisk odczuwa pewien niedosyt, a nawet zawód. Wynika to z wielu przyczyn. Na przykład: dość powszechnie żąda się zwiększenia dotacji na potrzeby nauki i to należy uznać za słuszne. Ale czy słuszne jest — przy ogólnie znanych trudnościach wygospodarowywania sum na te cele — rozrzutne często dysponowanie tymi kwotami, objawiające się m. in. w dublowaniu zakupów tej samej aparatury przez jednostki tego samego wydziału, w zakupywaniu aparatury przestarzałej, czy wreszcie w niedostatecznym wykorzystywaniu już posiadanej?

Powszechna krytyka towarzyszy zwykle opracowaniu nowych, jakże często zmieniających się programów nauczania, a przy tym podnosimy takie lub inne niedostatki kształcenia studentów. Jak widać: tego tłumaczyć zbyt częste fakty braku korelacji w poszczególnych zajęciach lub tak utrudniające życie „odbiorcom” przekazywanej wiedzy, tj. studentom?

Wysięg naukowo-techniczny, za którym musimy nadążyć, wymaga opracowywania przede wszystkim problemów węższych, przy których konieczne jest zespolenie pracy całych sztabów naukowców, eksperymentatorów i realizatorów. A tymczasem w dalszym ciągu obserwuje się tendencje do wycofania w podejmowaniu zagadnień naukowych, izolowanie się niektórych naukowców z większych zespołów itp.

W mojej wypowiedzi dotykam w sposób niezbyt systematyczny i wyczerpujący niedostatki w pracy naukowców, wypunktowując jeden — może niedostrzeżalny, albo taki, o którym utarło się po prostu nie mówić — aspekt, który ciąży na efektach naszej pracy. Te niedostrzeżalne przeszkody nazwałbym przeszkodami psychicznymi i w świadomości naukowca. Objawem ich jest może nie tyle niechęć, ile nieumiejętność kolektywnej pracy i koncentracji wysiłków w dążeniu do określonego celu. Czy polega to na braku zaufania, czy niechęci do dzielenia się zasługami, czy po prostu na braku wyrobionych nawyków — nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Obserwuję jednakże tę istotną przeszkodę przy realizacji poważnych zadań, jakie przed środowiskiem naukowym stoją i chciałbym, aby podjęto przeciwdziałanie temu niekorzystnemu zjawisku. Zdaję sobie sprawę, że integracja „psychiczna”, o którą tu chodzi, może być osiągnięta tylko przez długofalowe działanie.

Doc. dr KAZIMIERZ PIETRZYK



Fot. B. OPIOŁA

JAN ZAWISZA

Awangarda postępu

Studenci i młodzież naszego miasta zapisała piękne skarty w historii Krakowa, którego postępowe, rewolucyjne tradycje sięgają XIX wieku, łącząc się z początkami postępowego ruchu ludowego i socjalistycznego, a w latach następnych — komunistycznego. Stanowiąc integralną część społeczeństwa miasta i regionu młodzież krakowska związała swoją walkę o demokratyzację wyższych uczelni z walką proletariatu w okresie lat międzywojennych, chlubnie zapisując się także w walce wyzwoleniczej w okresie hitlerowskiej okupacji.

Nazwiska wielu działaczy organizacji młodzieżowych przeszły na trwałe do historii polskiego ruchu robotniczego i jego patriotycznych tradycji. Bo przecież zrebby Polskiej Partii Robotniczej tworzyli — obok robotników „Zieleniewskiego” i „Semperitu” — także byli działacze organizacji młodzieżowych, wśród nich akademicy Uniwersytetu Jagiellońskiego, innych uczelni i szkół krakowskich. O nich postanowiliśmy napisać dzisiaj na łamach naszej studenckiej jednodniówki, raz jeszcze przypomnieć nazwiska, działalność i postępowe poglądy.

*

Czterdzieści pięć lat temu, w ostatnich dniach stycznia 1927 roku, senat Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie zatwierdził statut nowo powstałej na tej uczelni Akademickiej Organizacji Niezależnej Młodzieży Ludowej „Orka”. Nie spodziewali się jednak profesorowie kłopotów, jakich dostarczy im wkrótce

organizacja. Wprawdzie w statucie jego autorzy, studenci UJ: Stanisław Ziaja, Franciszek Zmuda, Franciszek Kusto, Wiktor Bogusławski i Józef Labuz — wyraźnie prezentowali program przyszłej organizacji, a więc pracę samokształceniową, zwalczanie przesądów i szerzenie niezależnej ideologii proletariacko-chłopskiej w środowisku akademickim, ale członkowie senatu spodziewali się, iż plany młodych zapaleńców pozostaną bardziej w ich umysłach i na papierze. Stało się jednak inaczej.

W ślad za statutem młodzi działacze przystąpili do realizowania swoich planów, określonych w deklaracji programowej — planów, jak na tamte czasy, rewolucyjnych i szokujących swoją śmiałością. Podjęli walkę antyopatową i pracę agitacyjną, szczególnie w ośrodkach wiejskich. Nawiązali ścisłą współpracę z młodymi komunistami działającymi nauczelnicy w Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej „Życie”. Czynnici włączyli się do pomocy przy wydawnictwie przez życiowców ich pisma — „Życie Akademickie”.

To właśnie wtedy zetknęli się po raz pierwszy Ignacy Fik i Stanisław Ziaja — później dwaj czołowi działacze konspiracyjnej organizacji lewicowej „Polski Ludowej”. Dyskutując o wspólnej walce przeciwko narastającej faszystacji kraju, biorąc udział w robotniczych wiecach i chłopskich manifestacjach, rozprawiając własne gazetki i odezwy wydawane przez Komunistyczną Partię Polski, tworzyli działacze „Orki”

(Dokończenie na str. 3)

Moja rozmowa z mgr Janem Dobrowolskim odbyła się niedługo po zakończeniu genewskiej konferencji, która zgrupowała przedstawicieli z 27 organizacji młodzieżowych o zasięgu międzynarodowym (wśród nich reprezentowana była potężna Liczebnie Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej). Jako jedyne organizacje międzynarodowe wystąpiły: Zrzeszenie Studentów Polskich (które delegowało mgr Jana Dobrowolskiego, kierownika naukowego ogólnopolskich akcji „Pieniny” i „Ojców”) oraz Związek Młodzieży Szwedzkiej — gospodarz spotkania w Sztokholmie, przewidzianego na marzec bieżącego roku. Generalnym tematem obrad był udział młodzieży w światowym ruchu na rzecz ochrony naturalnego środowiska człowieka.

Nie będę zatrzymywać się nad wielokrotnie już omawianymi przedsięwzięciami ZSP. Dla nas istotniejsze jest, w jaki sposób przyjęto, jak komentowano nasz dorobek i jak oceniono go w porównaniu z osiągnięciami innych krajów. Zrzeszenie Studentów Polskich zaprezentowało oryginalny i niespotykany w innych państwach model kompleksowych badań naukowych, z równoczesnym zastosowaniem praktycznym. Wzbudziło to zrozumiałe zainteresowanie partnerów dyskusji. Tylko w Polsce podjęto tak szeroko i wielostronnie zakrojone prace nawiązujące do administracyjnym do (wyniki badań, wnioski przedkładane są odpowiednim jednatomistowemu realizacji) w innych częściach świata, w których stan przyrody jest znacznie gorszy, częściej nie podjęto żadnych prac. Nie mówiąc już o kompleksowych, przy współudziale wielu spe-

ELŻBIETA ANDRZEJOWSKA

Jak nas widzą...

Studencka ochrona środowiska

cialności. Owszem, zwotyowano narady w terenie, nazywając je obozami, praktycznie zaś nie miały one większego znaczenia dla obszarów, na których się odbywały. Głównie polegały na rozważaniach teoretycznych.

Spotkania nieoficjalne konferencji w Genewie przeciągały się niejednokrotnie do późnej nocy. By zaspokoić ciekawość delegatów, ZSP zapatrzyło swego przedstawiciela w obfite materiały - zdjęcia, filmy, wyniki badań, publikacje. Wspomniał mój rozmówca o szczególnie zainteresowanych naszymi poczynaniami reprezentantach młodzieży szeregu krajów, np. ekologu z uniwersytetu w Santiago de Chile...

W takiej sytuacji trudno było o jakiegokolwiek porównania. Proponujemy wszak model w znacznej mierze uniwersalny. Niektóre z problemów — np. ochrona wody — są powszechne i wymagają międzynarodowej współpracy, ale są też problemy specyficzne, właściwe poszczególnym regionom świata.

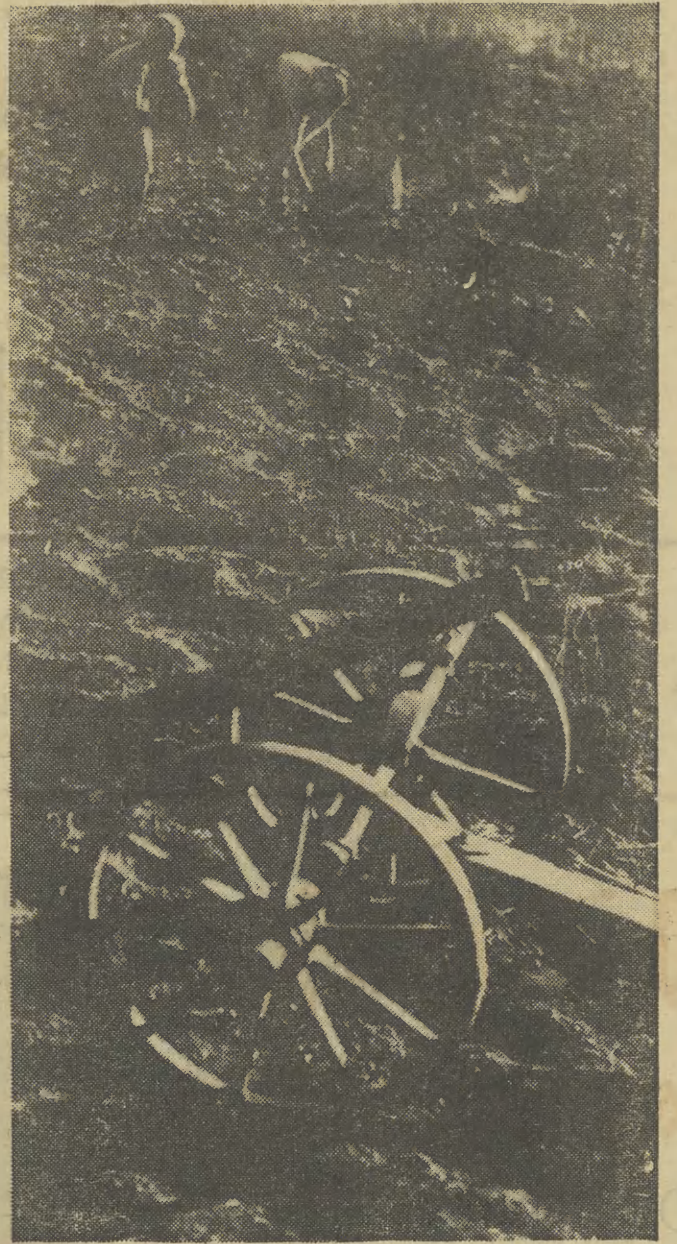
W konferencji uczestniczyli przede wszystkim biolodzy inżynierowie sanitarni. Toteż zaskoczenie wywołał fakt uczestnictwa w polskich badaniach przedstawicieli gątezi humanistycznych: socjologów, językoznawców. Językoznawcy zaję-

li się pochodzeniem nazw. Rezultaty będą mieć zastosowania przy rekultywacji pewnych terenów (zgodnie z naturalnymi zespołami pierwotnymi, z których często nie pozostało nic prócz nazwy), znajdują także zastosowanie w kartografii.

Prace młodzieży polskiej wskazywały nową drogę: nie tylko środowisko przyrodnicze, również i społeczne wymaga opieki. Stąd rozszerzenie zakresu na prawo administracyjne, socjologię, ekonomię, językoznawstwo. Oba kierunki badań są konieczne i wzajemnie się uzupełniają.

Przytoczymy na zakończenie niezwykle cenne sformułowanie dr Stronga — zastępcy Sekretarza Generalnego ONZ do Spraw Środowiska Człowieka. Stwierdził on m. in., że od współczesnego człowieka należy oczekiwać tzw. Nowej Moralności, to znaczy zmiany stosunku do przyrody, bo stosunek ten w wielu wypadkach podobny jest temu, jaki cechował ludzi z epoki kamienia łupanego — dominuje w nim przekonanie, że z przyrodą należy walczyć. Tymczasem ludzie wyznający ten pogląd nie zdają sobie sprawy, że jeżeli walczą z środowiskiem, pośrednio, walczą ze sobą.

ELŻBIETA ANDRZEJOWSKA



Fot. B. OPIOŁA

ALEKSANDER ŚWIEJKOWSKI

Hasło sesja

Od 25 stycznia pustoszą kina, kawiarnie, mniej studentów spotyka się w teatrach. Milknie także powszednie życie klubów studenckich, które z przybytku kultury, areny dyskusji politycznych czy też miejsca spotkań towarzyskich przemieniają się w „salony” cichej nauki. Sale wykładowe są w tym czasie puste. Tłoczno natomiast przed drzwiami profesorskich gabinetów. Tu panuje niebywały ruch.

Popularna „giełda” przybiera najprzeróżniejsze oblicza. Po chwilach zdenerwowania i niepewności następują momenty spokoju i nadziei. Podczas gdy jedni bezradnie rozkładają ręce, nierzadko z łezką w oku, inni wmawiają sobie, że muszą zdać. Są i tacy, którzy wśród giełdowego hałasu szukają metody i sposobu, który zapewniłby im uzyskanie oceny pozytywnej u danego egzaminatora.

Niewątpliwie najlepszy spo-

sób stanowi dogłębne poznanie i przyswojenie sobie wymaganego materiału. Często jednak okazuje się, że czasu na to jest zbyt mało. Idzie więc delikwent na egzamin licząc trochę na szczęście i nawet odpowiednią wilgotność powietrza, a trochę na dobry humor profesora.

Szczególnie mało czasu mają studenci tych uczelni i wydziałów, których program przewiduje większą ilość egzaminów (4-5). Wypada wówczas egzamin co trzy bądź cztery dni.

Brzmi to może trochę jak paradoks, jakże jednak często spotykany. Bywa i tak, że student zdaje egzamin dzień po dniu. Są to anomalie wymagające natychmiastowej korekty.

Należy wspomnieć także i o

tym, że sesja to nie tylko dwa tygodnie. Już na wiele dni przedtem rozpoczyna się wdrówka gęsto usiana kolokwiami z ćwiczeń, a nawet i z wykładów, których zdanie stanowi warunek dopuszczenia do sesji. Liczba przedmiotów, z których należy uzyskać zaliczenie, często dwu- i trzykrotnie przewyższa liczbę egzaminów, objętościowo nierzadko dorównując przedmiotom egzaminacyjnym. W tym też czasie student musi opanować materiał do egzaminu, którego termin zdawania wyznaczono na 25 czy 26 stycznia, a więc tuż po zakończeniu zajęć semestralnych.

Oficjalnie data zakończenia sesji egzaminacyjnej przypada na dzień 9 lutego, po którym jest przewidziana przerwa semestralna. Tę przerwę

często wykorzystuje się jeszcze na egzaminy. Pozwala to znacznie zwiększyć odstępy czasowe między poszczególnymi egzaminami.

Starajmy się tak gospodarować swoim czasem, by maksymalnie wykorzystać go na naukę. Miejmy nadzieję, że przyjdą tu nam z pomocą także i egzaminatorzy, wywieszając na drzwiach swoich gabinetów listy z dokładnym godzinowym podziałem: kto, kiedy i gdzie zdaje. Pozwoli to zlikwidować do zera tworzące się często kolejki. Przestrzeganie tych terminów, tak przez studentów, jak i egzaminatorów, w dużej mierze usprawni przebieg egzaminów. Alert „Sesja” trwa.

ALEKSANDER ŚWIEJKOWSKI

RSW „Prasa” — nazwa to znana dobrze każdemu czytelnikowi gazet w Polsce. Widnieje ona w tzw. „stopkach” prawie dwustu pism codziennych i periodycznych. A początki tej zasłużonej placówki wydawniczej były bardzo skromne.

Powolał ją do życia Komitet Centralny PPR w kwietniu 1947 roku, podejmując uchwałę o utworzeniu centralnej instytucji wydawniczej mającej skupić w jedną organizacyjną całość rozproszone do tego czasu wydawnictwa komitetów partyjnych. 10 maja 1947 roku, a więc prawie 25 lat temu, odbyło się pierwsze posiedzenie Rady Nadzor-

czej Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa”. Obok działaczy politycznych, dziennikarzy i drukarzy członkiem Spółdzielni była Polska Partia Robotnicza.

Dwadzieścia pięć lat temu spod pras drukarskich wychodziło ze znakiem RSW „Prasa” tylko 12 tytułów (8 dzienników i 4 czasopisma) o jednorazowym nakładzie 1.349.000 egzemplarzy. Porównajmy te dane odnoszące się do całej Polski z liczbami obrazującymi obecny stan posiadania jednej tylko agencji RSW — Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego — nota bene, mecenasa poczynają dziennikarzy studenckich, dzięki któremu mogła się ukazać niniejsza jednodniówka.

Otóż Krakowskie Wydawnictwo Prasowe wydaje dziś 8 tytułów gazet i czasopism. Są to — dziennik partyjny, or-

Nasz mecenas

gan KW PZPR „Gazeta Krakowska”, „Dziennik Polski”, „Echo Krakowa”, „Życie Literackie”, plasujący się w czołowie pism o największym nakładzie „Przekrój”, „Głos Młodzieży”, popularne pismo sportowe „Tempo” oraz specjalistyczne wprawdzie, ale jakże dziennikarzem potrzebne „Zeszyty Prasoznawcze”. Łączny jednorazowy nakład wymienionych powyżej pism wynosi 1.265.000 egzemplarzy, czyli prawie tyle ile przed 25 laty RSW „Prasa” wydawała w całej Polsce!

W ramach KWP działa także Ośrodek Badań Prasoznawczych. Jest to jedyny w kraju instytut naukowy, obejmujący

swoim zasięgiem całokształt zagadnień związanych z prasoznawstwem.

Przed dwudziestu pięciu laty Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza tak formułowała cel swego istnienia — „Działalność wydawnicza, oświatowa i propagandowa w duchu marksistowskim dla podniesienia ogólnego poziomu wiedzy społecznej w Polsce, działalność wydawnicza dla udostępnienia szerokim masom taniej prasy robotniczej, literatury pięknej, popularno-naukowej i innej, popieranie twórczości literackiej, rozprowadzanie demokratycznych gazet i czasopism”.

Zadania te nie zmieniły się

w ciągu ubiegłego 25-lecia. Zwiększyły się tylko wymagania czytelnicze i chłonność rynku czytelniczego. Lektura z gazet i czasopism stała się dla milionów ludzi codziennym nawykiem, nie wyeliminował go rozwój radia i TV; prasa stała się towarzyszem życia każdego prawie obywatela. Stąd też czynione są starania o jak największą ilość i najlepszą jakość wydawanej prasy. W kraju buduje się i modernizuje zakłady graficzne, w Krakowie oddano ostatnio w Prasowych Zakładach Graficznych do eksploatacji nową maszynę rotacyjną „Plamag”, a w perspektywie, zresztą nieodległej, rysuje się przed krakowskimi wydawcami i pracownikami pism wizja Domu Prasy, prawdziwie nowoczesnego kombinatu wydawniczo-drukarskiego.

(RED.)

Plany ambitne i trudne

Samorządność studencka to jedna z najważniejszych form społecznej działalności Zrzeszenia Studentów Polskich. U podstaw jej rozwoju leży założenie, iż stwarza ona studentom możliwość brania czynnego udziału w rozwiązywaniu spraw całego środowiska, rozbudza inicjatywę i aktywność, pomaga w zdobywaniu umiejętności społecznego działania i przygotowuje do życia w społeczeństwie.

Jedną z jej najbardziej widocznych form jest samorząd studencki w domu studenckim. Umożliwia on studentom rozwinięcie działalności poza murami uczelni, pozwala im zarządzać na terenie akademika swoimi sprawami, organizować warunki do pracy i spędzania wolnego czasu, tworzyć życie kulturalne, społeczne, polityczne. W domach studenckich mieszka około 40 proc. ogółu studentów. Rady Samorządu mają więc do spełnienia wiele ważnych zadań.

Ciekawa, jeżeli chodzi o kwestię samorządności, była koncepcja twórców krakowskiego miasteczka studenckiego. Pragnęli oni, aby osiedle było całkowicie zarządzane przez studentów. Samorząd miał tutaj sprawować nie tylko formalną, lecz faktyczną władzę, bez

tkich mieszkańców, zdobyć ich poparcia, tak aby można było liczyć na ich aktywny udział w pracy. Bez tego bowiem nawet najlepiej działający zespół aktywistów nie podolałby zadaniom. Na I Konferencji programowej Rady Osiedla wiele miejsca poświęcono sprawie rozszerzenia działalności kulturalnej i sportowej. Wzniesienie obiektów kulturalnych i sportowo-rekreacyjnych jest przewidziane dopiero w późniejszym terminie, po wybudowaniu budynków mieszkalnych. Istniejąca baza lokalowa jest bardzo szczupła, należy więc starać się o jej maksymalne wykorzystanie i tworzenie nowych placówek w ramach istniejących możliwości. Zaplanowano np. przekształcenie niewykorzystanej kreslarni w Klub Sztuki Filmowej. Zrealizowanie tej inicjatywy poprawiłoby znacznie możliwości działalności kulturalnej na Miasteczku. Jedyne bowiem działające klub „Zaszcianek” jest stanowczo przeciążony. Wystąpiono także z propozycją wybudowania tymczasowej hali sportowej, której brak daje się bardzo odczuć. Początkowo planowano postawienie hali pneumatycznej, ostatnio jednak wysunięto ciekawą propozycję wybudowania prowizorycznej, lecz stałej sali krytej,



przejmowania oczywiście prac administracji i usług. Ta piękna i ciekawa idea została jednak zarzucona. Powrót do niej nastąpił w ubiegłym roku, kiedy podjęto decyzję o dalszej rozbudowie osiedla. W chwili obecnej mieszka tam ok. 5.000 studentów i prawie 900 asystentów. W momencie zakończenia budowy mieszkań będzie ok. 8 tys. osób. Sprawne działanie i rozwój samorządu w tak olbrzymim skupisku wymaga jednolitego kierownictwa oraz wspólnego jednolitego programu działania.

Dlatego też Rada Okręgowa ZSP postanowiła zreorganizować władze studenckie Samorządu Osiedla.

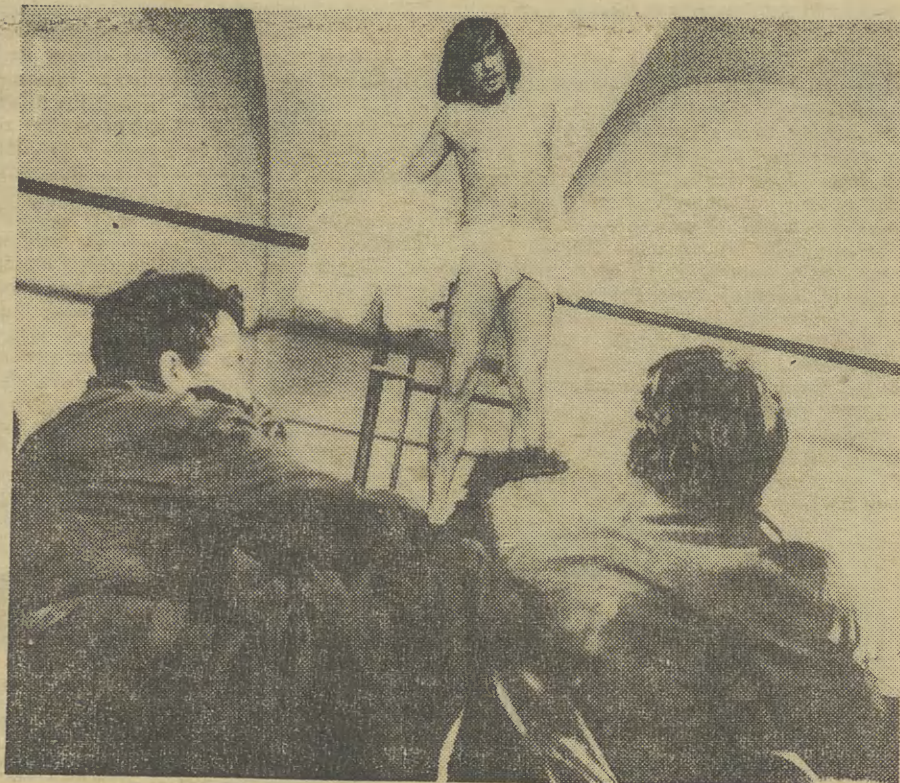
W przeprowadzonych w październiku wyborach wyłoniono nowe Rady Mieszkańców poszczególnych akademików. Podlegają one nowostworzonej Radzie Osiedlowej, a ta — Radzie Okręgowej ZSP. Zniesiono więc istniejącą dotąd organizacyjną podległość RM poszczególnym Radom Uczelnianym ZSP. Był to pierwszy krok w kierunku finansowego i administracyjnego usamodzielnienia Miasteczka. Wymaga to oczywiście dalszych zmian całej istniejącej obecnie struktury samorządności i odpowiednich przepisów. Utworzona z inicjatywy Komisji Domów Studenckich RO ZSP specjalna Komisja d/s Osiedla pracuje obecnie nad projektem takich zmian. W związku z tym przed nowo wybranymi władzami Osiedla stoi trudne zadanie przygotowania całej społeczności miasteczkowej do faktycznego, samodzielnego kierowania Miasteczkiem. Dlatego Rada Osiedla postawiła sobie za naczelną zadanie zintegrowanie wszys-

np. blachą, której koszt nie przekroczyłby prawdopodobnie kosztów hali pneumatycznej. W chwili obecnej Rada Osiedla podjęła się zrobienia programu takiego przedsięwzięcia i najprawdopodobniej na wiosnę rozpocznie się budowa. Mają także powstać boiska sportowe. Inicjatywy te pomogą nowej Radzie; będą wymagały aktywnego udziału mieszkańców w ich realizacji. Zaangażowanie ogółu mieszkańców w tych pracach będzie najlepszym sprawdzianem przygotowania studentów do przejęcia władzy na Miasteczku.

Tok życia w osiedlu regulują odpowiednie przepisy, określające zadania i uprawnienia Rad Mieszkańców. Są one na dzisiaj już nieaktualne i hamują rozwój studenckiej inicjatywy. Pewne zmiany mogą być bowiem wprowadzone jedynie w wypadku pozytywnego porozumienia z kierownikiem domu. Powoduje to niejednokrotnie wiele konfliktów. Dobrze by się więc stało, gdyby mecenat Miasteczka — AGH — już w chwili obecnej usankcjonował decyzjami administracyjnymi propozycje rozszerzenia kompetencji RM. Dopóki bowiem za planami nie będą stały możliwości ich realizacji, nie będzie można mówić o rozwoju samorządności na Osiedlu.

Nowe studenckie władze na pewno nie ustrzegą się pomyłek i błędów, zaśiadają w nich bowiem ludzie nowi i nie mający za sobą większego doświadczenia. Osiedle krakowskie liczy sobie przecież zaledwie kilka lat, a proponowane zmiany są unikalne chyba w skali całej Polski.

Nie należy się jednak tego bać; trzeba pozwolić studentom na eksperymenty i zapalić zielone światło dla wszelkich inicjatyw na Miasteczku.



Fot. J. SZMUC

Wizyta w teatrze STU!

Przekroczyłem progi podwójnych drzwi Teatru STU. W małym, kolorowym, zadymionym pokoiku siedziało kilkanaście osób oczekujących rozporządzeń samego Mistrza Krzysztofa Jasińskiego. Włodek dawał wycinkowy pokaz autentycznego talentu. Zdrowy i szczery uśmiech kilkunastu osób kotłował się w ciasnym pomieszczeniu. Zbyt głośno widać! Inspirator, reżyser, kierownik artystyczny i założyciel Teatru w jednej osobie Krzysztof Jasiński wychynał ze swej „jamy” uspokajają!

Zanim będzie mi dane rozmawiać z kierownikiem artystycznym teatru przegładam program SPADANIA!

Dla śledzących drogę rozwoju teatru STU oczywisty jest fakt przeobrażeń jakie zaszły w świadomości ideowo-artystycznej zespołu. Od pierwszego artystycznego wydarzenia jakim był spektakl „Nie do Obrony” Osborne’a, do politycznego widowiska — SPADANIE prowadzi długa, bo pięcioletnia droga przeobrażeń i niepokojów, zamknięto własną formułą „teatru dokumentalnego”. Dwadzieścia pięć premier, uczestnictwo w festiwalach krajowych i zagranicznych, w międzynarodowych konfrontacjach, sukcesy i uznania — to już nie tylko zwykłe „coś”. Było w międzyczasie ERLANGEN (1966), był ZAGRZEB (1967) i AMSTERDAM (1970). Była również druga nagroda na IV Festiwalu Kultury Studentów PRL w 1969 roku i tytuł Najciekawszego Spektaklu Roku 1970 dla spektaklu SPADANIE na VI Łódzkich spotkaniach Teatralnych.

W pierwszym okresie działalności teatru (a można wyróżnić trzy takie okre-

sy) kształt spektaklu formowała teatralna metafora, sublimacja wypowiedzi, praca nad sprawdzonym literacko tekstem o dużej nośności. Grano sztuki Ionesco, Cocteau, Mrożka, Osborne’a, oraz odpowiednio adaptowaną prozę Gogoła, Okudźawy, Lagerquista. Były również próby poetyckich widowisk Harasymowicza i Leśmiana.

W drugim okresie, od 1968 roku kierownictwo teatru stawia na inny typ pracy. Zdecydowano się powołać do życia Studio Aktorskie. Teraz miejsce studenta krakowskiej PWST w teatrze zajmuje student-amator. Program Studia Aktorskiego jest opracowany tak, by można było poświęcić wiele czasu na wykształcenie u amatora teatralnej wyobraźni. Obok ćwiczeń estradowych, emisji głosu i tańca, gizwną uwagę poświęcono tzw. etudom aktorskim.

Wreszcie SPADANIE otworzyło trzeci etap dla TEATRU STU. Kierownictwo i członkowie zespołu duże nadzieje wiąże z powstaniem pierwszego w Polsce Robotarcko — Studenckiego Centrum Twórczego w Nowej Hucie. Z optymizmem i gorączkową ciekawością obserwujemy ten nowy etap. Tym bardziej uzasadniony to optymizm, że w VIII Łódzkich Spotkaniach Teatralnych spektakl „Sennik Polski” uzyskał nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. Wielka Nagroda Publiczności świadczy zaś o nieślabnącej popularności teatru.

Z wyraźną niechęcią opuszczając przytulną siedzibę Teatru, czułem ten optymizm zawieszony gdzieś w tej miłej studencko-artystycznej atmosferze.

ADAM ODON KLEKOTKO



Fot. J. SZMUC

kich. W nocy z 17/18 stycznia Szapowałow z grupą radzieckich saperów unieszkodliwili kabel. Wkraczający od zachodu żołnierze radziecy wzięli do niewoli dwie kompanie zaskoczonych Niemców, którzy mieli stanowić osłonę sztabu na Pasterniku.

Miastu groziła śmierć

Kraków skazany został na zagładę. Już od sierpnia 1944 roku budowano zapory inżynieryjne, rowy przeciwczołgowe, zakładano pola minowe, zasieki. W różnych punktach miasta pojawiły się betonowe bunkry. W podziemiach obiektów przemysłowych i zabytkowych budowli Niemcy gromadzili potężne ładunki dynamitu. Śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad miastem. W wypadku wycofania się — tam, gdzie Wawel, miała pozostać dziura z rojowiskiem zab — tak planowali hitlerowcy.

Barbarzyński zamiar zniszczenia nie powiódł się. Kraków pozostał żywym obrazem historii.

Grzegórzki. Drzwi „siódemki“ otworzyły się z charakterystycznym syczeniem. Przybywamy tu szukając śladów wydarzeń sprzed dwudziestu siedmiu lat. Mamy spotkać się z człowiekiem, który był jednym z tych, co ratowali miasto przed zagładą.

Wita nas jeden z organizatorów zbrojnego podziemia w Krakowie, dowódca X Okręgu GL i AL, obecnie major w stanie spoczynku — Józef „Michał“ Zajac.

ŚMIERCIONOŚNY KABEL

„Byliśmy świadomi zbrodniczych planów okupanta — wspomina towarzysz „Michał“. Stała przed nami wizja zagłady mieszkańców, olbrzymich spustoszeń. Hitlerowcy zamierzali Wawel, Sukiennice, pałac „Pod Baranami“, gazownię miejską, bank i wiele innych obiektów. Pewne roboty o charakterze wojskowym wykonywała niemiecka organizacja „Todt“. Zatrudnieni tam zostali i nasi ludzie, członkowie PPR. Dostarczali więc wiele cennych informacji dotyczących przeznaczenia wykonywanych prac. Pracowaliśmy już wtedy wspólnie z radzieckimi zwiadowcami, m. in. z lejtnantem Aleksiejem Szapowałowem i Jewgienijem Bieriezniakiem — dowódcą partyzantów radzieckich. Rozpoznanie jednostek niemieckich, rozpracowywanie planów operacyjnych przeciwnika, zorientowanie się w ilościach i rodzajach transportu — to były wtedy nasze główne działania. Spostrzeżenia przekazywaliśmy drogą radiową sztabowi radzieckiemu.“

Była jesień 1944 roku. Trzeci rok działalności PPR w Krakowie, której współorganizatorem był nasz rozmówca. PPR-owcy od początku swego istnienia podjęli decyzję natychmiastowej walki zbrojnej. Pierwszą akcją gwardystów w naszym mieście był zamach na niemiecki wtedy lokal „Cyganerie“ przy ulicy Szpitalnej. Towarzysz „Michał“ Zajac, jako dowódca zbrojnych sił PPR w Krakowie, opracowywał plan akcji.

„Hitlerowcy zapędzali Polaków do kopania rowów przeciwczołgowych, Kraków miał być polem bitwy.

Przystąpiliśmy do rozpoznawania sieci i rodzajów umocnień. We wrześniu Niemcy zaczęli kopać jakiś rów w Bronowicach. Do prac nie wzięli Polaków, robili to w tajemnicy. Zaintrygowani — śledziliśmy tę pracę. Głęboki na półtora metra rów ciągnął się od końcowego przystanku tramwajowego w Bronowicach w kierunku zachodnim. Było to z pewnością przedsięwzięcie militarne, ale jakie? Dostrzegliśmy, że na dno wykopu Niemcy kładli dość gruby kabel. Niemcy wyraźnie spieszyli się. Wtedy wojska wyzwalające stały już nad Sanem. Dobre warunki do obserwacji tych robót miał Józef Prysak, przed wojną stróż miejskich ogrodów w Bronowicach i tam zamieszkały. Kabel przeciął już tory kolejowe, minął zabudowania Bronowic kierując się ku Pasternikowi. Zaczęliśmy się domyślać przeznaczenia prac. W deszczowy dzień Niemcy weszli do domu Prysaka, by się ogrzać. Bimber rozgrzał ich, ale nie spowodował zwierzeń. Dopiero po paru dniach gospodarz sprawkował Niemców: — Rosjanie wejdą do miasta! — Nein! — ostro zaprotestował hitlerowiec. — Będzie wybuch!“

Kabel więc prowadził z Pasternika różnymi rozgałęzieniami do miasta. Ludziom i zabytkom groziła śmierć. Później dwaj pracownicy hitlerowskiego wywiadu, Romachow i Hartmann, potwierdzili to. W przewidywaniu klęski rozpoczęli współpracę z polskim podziemiem. Kabel prowadził do frontu na Pasterniku; tam miał znajdować się niemiecki sztab obrony miasta. Tam też mogła zapaść decyzja zrównania Krakowa z ziemią. Zdobyte informacje były niezwykle cenne. Natychmiast zostały przesłane drogą radiową na drugą stronę frontu.

JCALENIE

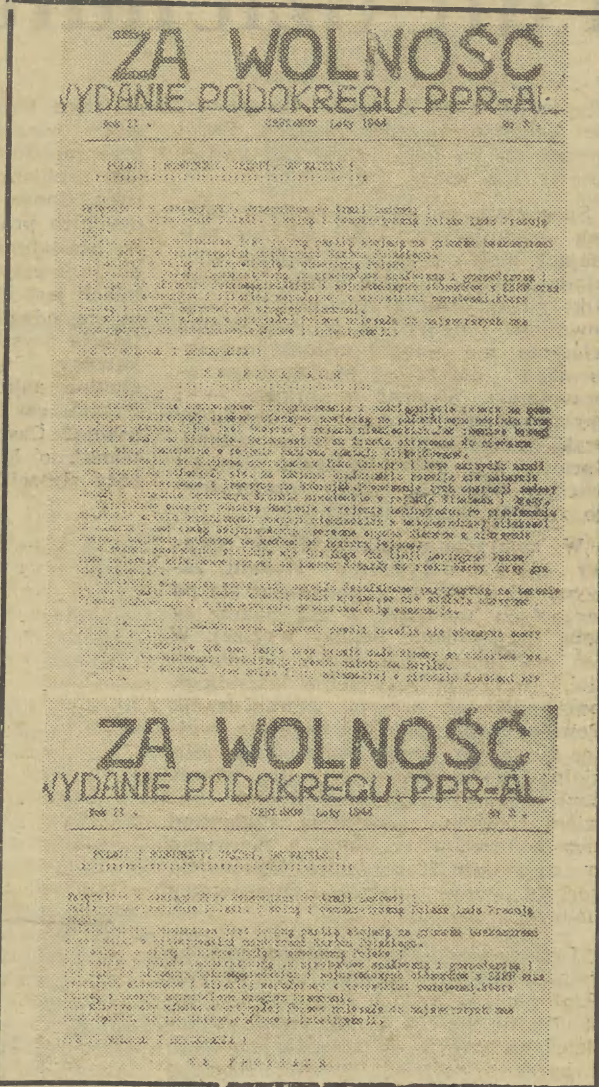
Niemcy liczyli, że Armia Czerwona uderzy na Kraków ze wschodniej strony. Obok przygotowań do beznadziejnej obrony rozpoczęli ewakuację. Był styczeń 1945.

„17 stycznia przebywałem w Bronowicach — mówi mjr Zajac. — Po ogłoszeniu alarmu schroniliśmy się w piwnicy pewnego domku. Alarmu nie odwołano. Został nas świt i pukanie do drzwi. Byli to żołnierze radziecy. Giermańców zdies' niet? — to były ich pierwsze słowa. Radość wyzwolenia macił nam niepokój o miasto. Okazało się jednak, że nie ucierpiło ono wcale. Patrzyłem z daleka na majaczące w powietrzu kontury wawelskiego zamku. W tym momencie przyszedł Prysak z kolegą, przynosząc kawałki „naszego kabla.“

Wiadomość o istnieniu śmiertelnej linii spowodowała szczególnie ostrożną operację wojsk radzie-

Towarzysz „Michał“, przed wojną działacz KPP, rozpoczął w dniu wyzwolenia pracę w Komitecie Miejskim. Do zjednoczenia partii pełnił obowiązki II sekretarza KM PPR w Krakowie. Długie lata pracował w wojsku. Dziś dzieli się z młodymi wspomnieniami z lat walk o wolność naszego miasta.

JAN OTAŁĘGA



O zatrudnieniu architektów, czyli czego chcielibyśmy oczekiwać

Niewiele jest zawodów, których wykonywanie w pierwszym okresie po studiach napiętnowane jest tak drastycznym rozmiękaniem się praktyki z teorią, jak w przypadku architekta. Wydziały architektury uczą w zamierzeniu programu i nauczających projektowania. Pozostałe, towarzyszące temu celowi przedmioty, są traktowane jako służebne. Szereg przyczyn składa się na to, że synteza wszystkich dyscyplin zawartych w aktualnych programach nauczania nie stanowi owego skończonego projektu, pełnego, znakomitego pod każdym względem, o jaki powinno może chodzić. Robimy projekty

w warunkach wyidealizowanych. Nie są one wykonywane kompleksowo; od koncepcji — po robocze rysunki detali konstrukcyjnych. Nie ma w nich ani odrobiny cienia użerania się z inwestorem, wykonawcą, użytkownikiem. Są szkicami naszych pomysłów;

oczywiście... smacznie podanymi graficznie — i tyle. Są wyrazem naszych tęsknot i marzeń, co przełożone na żargonowy język środowiska nazywa się „poszaleniem“. Dyplom stanowi okazję do końcowego zmanifestowania naszych możliwości twórczych.

Po jego otrzymaniu łatwo poczuć się zdegradowanym. Praca w biurze, administracji, na uczelni — już w pierwszych dniach stanowi twardą lekcję rezygnacji z dotychczasowych nawyków, poglądów, zamierzeń. Nie znakomite centrum miasta stutysięcznego lub półmilionowego, nie teatr, nie zespół rekreacyjny nad jeszcze niezrealizowanym zalewem — ale najpierw projektujesz zaadoptowanie starej rudery na hotel robotniczy, oszczędną balustradę dla upiornych twórczym zdaniem typowych bloków o koniecznie pięciu kondygnacjach... etc. etc.

Czyżbyśmy nie wiedzieli, co nas czeka?... Zupełnie nieliczni, związani z przyszłą pracą względami rodzinnymi, lub poznający ją wcześniej przed studiami bądź podczas studiów (dobrodziejstwo przerw w nauce), dbający o to, by poznać swego fundatora, nie marnujący szansy — bodaj jedynej — jaką bywa praktyka przeddyplomowa — są przygotowani na to, że z pewnych ambicji trzeba będzie zrezygnować, że może grozi im określona specjalizacja do... emerytury.

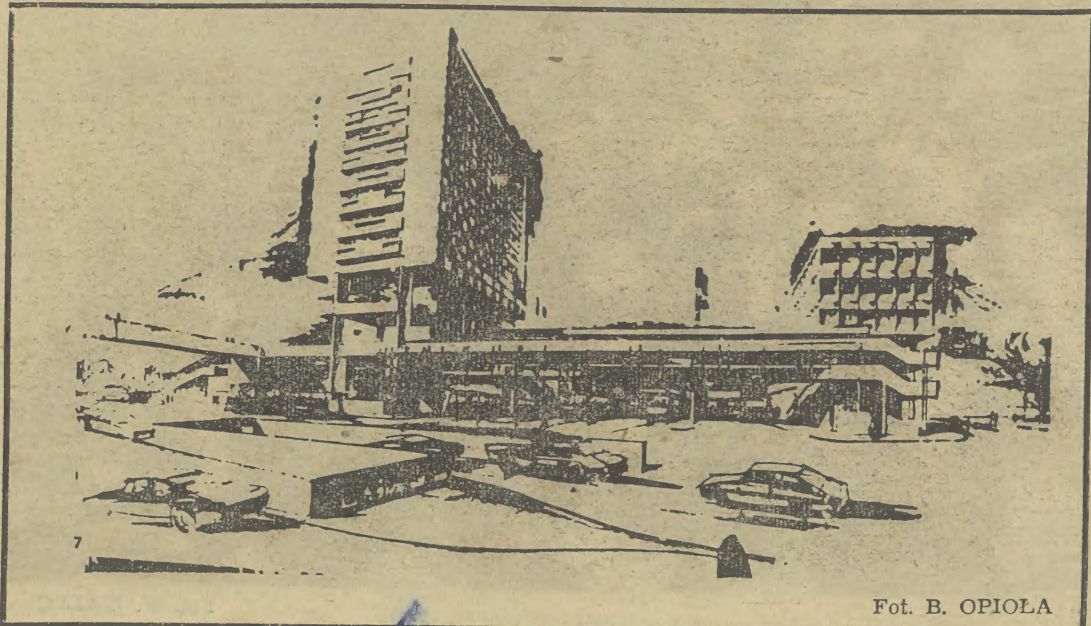
Absolwenci wydziału architektury, jednemu z najzdol-

niejszych, najaktywniejszych (teoretycznie), „grozi“ m. in. pozostanie na uczelni. Awans nie byle jaki. Doświadczeni wiedzą jednak, co to oznacza. Np. terminowanie. Jest taki młody człowiek, najmłodszy w zespole, w zakładzie, w którym nie ma sekretarki. Nie ma też czasem sprzątaczkę i gońca...

Z wykonywaniem zawodu w obecnych warunkach pracy młodej kadry na naszych wydziałach nie łączy się, niestety, praca w biurach projektowych. Administracyjne zakazy nie pozwalają na to, by przestać się po kilku latach czuć zupełnie tak, jak skrzypek, który ciągle nie miał okazji zagrać w dużej sali, gdy tymczasem skronie już zupełnie posiwiły. Pozostaje udział w konkursach. I należenie do SARP-u...

Najliczniejsza grupa absolwentów trafia do biur projektowych. Jeszcze pół biedy, gdy są to wielkomięskie zakłady — wzorcowe, z dobrymi tradycjami. Gorzej, gdy są to zaniedbane ich odpowiedniki, gdzie panuje nie najlepsza atmosfera, pogoń za pieniędzmi, waśnie między pracownikami, przyzwyczajonymi do utartych, sprawdzonych metod pracy, lekceważąco traktujących tego jedynego, który ma ochotę coś zmienić.

(Dokończenie na str. 7)



Fot. B. OPIOŁA

Długi, mroczny korytarz. Pod lukowanymi oknami, na ciężkich brązowych lamach siedzą ci, którym potrzebna jest pomoc dziekana. Spoglądają to na zegarek, to w perspektywę korytarza. Atmosfera nerwowości, podniecenia. Szepty, wyjaśnienia, rady kolegów. Na twarzach odbija się nadzieja, czasem rozterka, niepewność.

Stoją w kolejce, by załatwić sprawę przerastającą możliwość prostych, od lat podobnych, urzędniczych czynności. Przynoszą z sobą od dawna uło-

ciera do tego sam. Fragmentaryczne są to zresztą wiadomości, często fałszywe lub wypaczone. Nie tylko pierwszoroční studenci borykają się z wątpliwościami natury — co wolno im, a co zostało wzbronione.

Przykładem może być nieporozumienie pomiędzy grupą studentów a kierownikiem pewnej niewielkiej katedry Uniwersytetu Jagiellońskiego. Co-fnięto więcej niż połowę roku trzeciego na rok drugi. Powód? Brak zaliczenia z semestru czwartego. Odbyło się to pod koniec zimowego semestru

Pan dziekan prosi

żoną, zwięzłą treść spraw poważnych, ale nierzadko również błahych. Przycho-dzą tu, bo innej drogi dla swojej sprawy nie widzą.

Spoglądam na długi i ponury ogonek oczekujących. Jakiś student zajmujący lepszą pozycję w kolejce opowiada koleżce historię swojej sprawy. Nikt od opiekna grupy, poprzez pracowników katedry do jej kierownika włącznie, nie potrafił udzielić mu informacji dotyczącej studenckiego uprawnienia. Student wnioskuje — i chyba słusznie — że istnieje absolutny brak kompetencji w łonie uczelni. Sprawę jego może załatwić dopiero dziekan wydziału z racji rozszerzonego zakresu możliwości (!).

W załatwianiu jakiegokolwiek sprawy „doświadczony” student zaczyna od dziekana, a posuwając się po szczeblach hierarchii: w dół ciągnie za sobą przyzwolenie władzy wyższej. W ten oto sposób, jak łatwo się domyślić, uzyskuje zezwolenie wszystkich poszczególnych szczebli administracji. Pewien swego spokojnie zajmuje miejsce w kolejce. Proces ten zakończy oficjalna zgoda dziekana, o ile interesant zostanie przyjęty... Zwykle bowiem dziekani poświęcają studentom trzy godziny w tygodniu, a nierzadko w godzinach tych poza kolejnością sprawy swoje załatwiają pracownicy naukowci.

Często przyczyną takiego sposobu załatwiania spraw jest fakt, że student nie zna swoich uprawnień. Jeżeli u-da mu się coś na ten temat dowiedzieć, to zwykle od kolegów starszych i bardziej doświadczonych. Rzadziej na skutek niepowodzeń własnych do-

na roku trzecim, z którego to semestru wszystkie zaliczenia studenci prawdopodobnie by otrzymali. Pomi-am problem natury oczywistej: stratę roku. Chodzi jednak o znajomość studenckich praw. Kogo mają pytać, skoro atmosfera w katedrze nie należy do najlepszych? Skoro na wszystkich latach jest ich niewielu? Do kogo mają się odwołać, skoro propozycja cofnięcia wyszła od samego kierownika katedry — profesora, który uważał za słuszne zaliczenia tego nie udzielić? Pytają, czy strata semestru jest sensowna? Czy przysługuje im tzw. „awans”, o którym wokół siebie wiele razy słyszeli? Za poparciem kierowni-

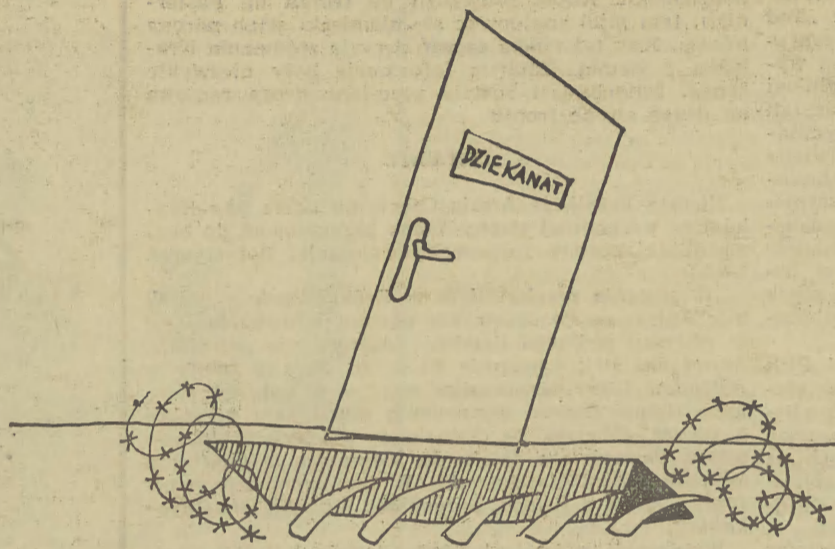


ka katedry o przedłużeniu „sesji” cią-gle prosili dziekana o jeszcze kilka dni zwłoki. Kilkakrotnie zdawali kolo-kwium — bez efektów! Co mają robić? Wielu uczących się, podobnie jak wspomniany tutaj student, dużo czasu potrzebuje, zanim naprawdę wciągnie się w rytm uczelni, zanim pojmie wie-le podstawowych, później już oczywi-

stych faktów. Zresztą nie tylko stu-dent błądzi. Taka sama sprawa w jed-nym dziekanacie załatwiana jest bez żadnych problemów, w drugim nie widzi się możliwości jej załatwienia.

Nic więc dziwnego, że z takimi czy innymi kłopotami przewijają się przez blok urzędniczy i z nadzieją oczekują dziekana, przygotowawszy uprzednio kilka korzystnych dla siebie wersji, które w każdej chwili można podsu-nąć. Często nie znają możliwości ich realizacji. Przychodzą z gotowymi propozycjami, które ułatwiają dziekano-wi pracę o tyle, że pozwalają ograni-czyć się do akceptacji lub odmowy.

Czy nie można by większości tych spraw załatwić na szczeblu niższym? Czy nie można by pozostawić dzieka-nowi spraw naprawdę trudnych, wy-magających przemyśleń, dyskusji z zainteresowanymi, z korzyścią dla obu stron? Można! Aby to osiągnąć, na-leży rozszerzyć kompetencje urzędni-cze w poszczególnych dziekanatach i instytutach. Następnie odciążywszy dziekanów zadbać, co wydaje się rów-nież ważne, o to, by znajomość stu-denckiego prawa znalazła swoje miej-sce wśród praktycznych umiejętności nie tylko studentów, ale także ich bez-pośrednich zwierzchników i wychowa-wców.



Rys. E. LUTCZYN

ADAM ODON KLEKOTKO

Felieton z kropkami

Jestem członkiem jednej z or-ganizacji młodzieżowych. U-częszczam prawie zawsze na zebrania, plena czy konferen-cje. Przy okazji przypatruję się ludziom. Pod słuchuję, co szepczą, gdy orator nie wzbu-dza w nich zainteresowania swą mową, obserwuję ich zachowanie...

Początek jest zazwyczaj nies-lychanie uroczysty: powita-nia, oklaski, błyski fleszów (je-śli zgromadzenie ma rangę „ważnego”). Prowadzący ze-branie zabiera głos, którego w miarę jeszcze wszyscy słucha-ją z zainteresowaniem. Potem — po słowach „...a teraz trak-tując swój głos jako wprowa-dzenie do dyskusji...” — zapa-da cisza.

Kto też będzie ten odważny, który wstanie pierwszy? Ciszę przerywają ostatni spóźniał-scy przesuwaniami stołków i lokowaniem się na sali. W tej chwili są najbardziej nieszczę-śliwi, bo wzrok wszystkich jest zwrócony na nich...

Ale oto ktoś wstaje — zabie-ra głos w dyskusji. Zdenerwo-wanie powoduje, że płacze się odrobinę w wypowiedzi, na

tyle jednak, by nie za bardzo można go było zrozumieć. Dą-żąc do celu używa słów i po-równań, których znaczenie nie jest mu znane zbyt dobrze, ale tak się przecież mówi na ze-braniach! Kończy. Oklaski.

Co to? Na sali wytwarza się atmosfera lekkiego znudze-nia. O! tam w kącie ktoś otwiera usta niczym ryba. Zie-wa? Eee! Chyba jeszcze nie, to stęzenie dymu papierosowego wzrosło na tyle, że nie ma zbyt wiele czym oddychać. Ten ktoś pewnie z pierwszego ro-ku — jeszcze nie zahartowa-ny...

A co oznacza to wyciąganie szyi gwałtowne prostowanie się i robienie poważnych min? Ach! — fotograf skierował o-biektyw na salę... Znowu ko-muś z trudem wychodzi wyraża-nie myśli. Pot wystąpił na czoło, ręce trzęsą się jak u starca — no, ale przecież mó-wi... Do stołu prezydiального uśmiechnięte przymilnie dzie-wczyny przynoszą kawę. Bie-dny oratorze! Nie ciebie te-raz słucha cała sala, nie twa osoba wzbudza zainteresowa-nie — to ruch łyżeczek, ich dźwięczny stukot teraz wszy-scy podziwiają...

A tam coś szepczą... „co bę-dzie dziś na kolację?” No tak, obiady bywają czasem mało kaloryczne — choć przecież na

w nich to nie oburzenie, one zazdroszczą tym odważnym...

Wreszcie zbliża się koniec. Kto za? Wszyscy błyskawicz-nie podnoszą jednomyślnie rę-ce. Kto się wstrzymał? Kto przeciw? — nie ma. Będzie ju-try o czym gadać, srogiej kry-tyce podda się wszystko, o czym się na zebraniu mówiło, wszystkiemu będziemy się sprzeciwiać. Każdy ma prze-

cież prawo do własnego zda-nia...

Ludzie wstają, przeciągają się przeraźliwie, przepychają się ku wyjściu, zachłystują się świeżym powietrzem. No, wca-le tak źle nie było, nie rozu-miem tylko, dlaczego ktoś na-rzeka, że czeka go jeszcze jed-no zebranie. Chociaż...

„1001”



Fot. W. BIELEC

Do jubileuszu tylko jeden krok

Spokojny Kraków znów się rozszepiał, rozbawił, roztańczył. Zresztą, to są tylko przypuszczenia. Nie wiemy bowiem, co nam przyniesie IX OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL PIOSENKI I PIOSENKARZY STUDENCKICH. Należy chyba spodziewać się wiele dobrego, skoro po latach chudych zwykły następować lata tłuste. A w takiej jesteśmy właśnie sytuacji, do takich wniosków doprowadziła nas krótka historia dotychczasowych konkurso-festiwalu.

Pomyśleć, że tę zabawę rozpoczęliśmy 10 lat temu, że na I Konkursie — w którym uczestniczyło 18 piosenkarzy z 6 środowisk akademickich — wyłoniono postać bez precedensu: Ewę Demarczyk, gwiazdę pierwszej wielkości.

Naturalnie, na przestrzeni tych dziesięciu lat byliśmy świadkami wielu zmian, upadków i wzlotów. Ileż twarzy przybyło, ileż tekstów uwiedło? Kilku piosenkarzy studenckich, laureatów poprzednich festiwali, oparło się okrutnej sile czasu, dostosowało się do

wardejszy zasady zmienności gustów i smaków. Obrosli w profesjonalne pióra, obrosli w legendę, zyskali gorących wielbicieli i zagorzałych przeciwników. Zdążyli się sprawdzić na przeróżnych festiwalach. Dziś są żywą kroniką czasu przeszłego. Pełni temperamentu, często balladowi, poetyczni, sentymentalni.

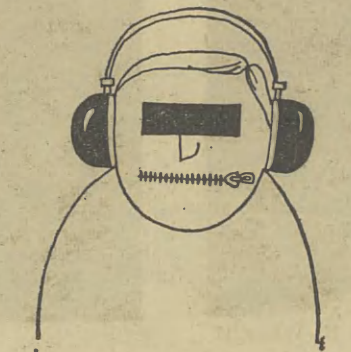
Na pierwszym konkursie zdecydowanie zwyciężył Kraków (Marian Kawski i Ewa Demarczyk — taka była kolejność nagród). Na drugim miejscu ułokował się Wrocław z Edwardem Lubaszenko, dziś doskonałym aktorem jednego z tamtejszych teatrów.

Po roku nastąpiła zmiana: do głosu doszedł Poznań z Bogdaną Zagórską. Dwa następne miejsca przypadły w udziale znowu Krakowowi. W ramach tego konkursu wprowadzono małe innowacje — plebiscyt publiczności na najlepszą piosenkę. Wybranką okazała się „Piosenka hebrajska” śpiewana przez Teresę Tutinas. Zwiększyła się wyraźnie liczba uczestników (25) i środowisk (10). Za najlepszego kompozytora uznano Andrzeja Zaryckiego z Krakowa.

Na konkursie trzecim (1964) pierwszą nagrodę zyskuje

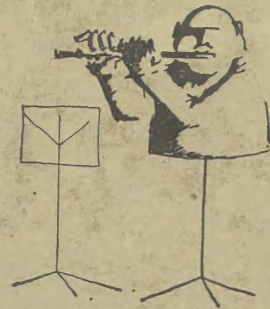
Zdzisława Sośnicka, dziś będąca w pełni formy, przeżywająca swój wielki piosenkarcki renesans. Na drugiej pozycji znalazła się Teresa Tutinas. Ilość środowisk pozostała ta sama, liczba uczestników spadła do 23.

W roku 1965 piosenkarcki laur zdobywa Danuta Jamrozy z Krakowa. Z walki nie rezygnuje w dalszym ciągu Poznań, bowiem drugie miejsce zdobywa Mirosław Kowalak, a trzecie Urszula Sipińska, dziś pani magister i matka chrzestna telewizyjnego okrętu „Waldorff”. Liczba piosenkarzy



spadła do 21, reprezentantów 9 środowisk.

Następny konkurs, piąty z kolei, kończy się sukcesem Urszuli Popiel z Krakowa, aktualnie aktorki teatru im. J. Słowackiego. Drugim miejscem jury wyróżniło Hannę Podkownik, również z Krakowa, a trzecim Marka Gołębiowskiego z Wrocławia. Zauważmy, że do tej pory jest mowa o przedstawicielach Krakowa, Poznania i Wrocławia. Reszta przeżywa swój artystyczny impas, bądź też sposobi się do walki... Podczas tego konkursu zaserwowano szerokiej pu-



bliczności imprezy towarzyszącej: recital Macieja Zembatego, rewię piosenek programów Teatrzyku Piosenki „Hefajtos” i inne.

A teraz uwaga: konkurs VI, rok 1967. Po raz pierwszy finał transmituje TV, rozrastają się granice spotkania, oprócz imprez towarzyszących organizowane są dyskusje, spotkania. Marek Gołębiowski, Urszula Sipińska mają już swoje recitale. Do głosu doszła wreszcie Warszawa — z Marylą Rodowicz. Drugie miejsce przypadło w udziale Markowi Grechucie, za nagrodzone także przez dziennikarzy „Tango-Anawa”. Co więcej? Elżbieta Burakowska przynosi drugi laur Warszawie. Liczba uczestników utrzymuje się w granicy poprzednich konkursów.

Po tym generalnym ataku Warszawy w historii Konkursów nastąpiła dwuletnia przerwa. Rok 1968 był rokiem piosenkarckiego milczenia, czasem refleksji, intymnej pracy, i, bądźmy szczerzy, rzetelnego szlifu.

Konkurs VII. Największa liczba uczestników — 50. Największa ilość środowisk — 14. Laureatką zostaje Jolanta Marciniak z Warszawy. Spie-

wała „Balladę o Violi da Gamba”, „Nie pojedę z tobą na wieś”, które to piosenki otrzymały specjalne wyróżnienie. Na miejsce Poznania i Wrocławia wchodzi Toruń z Bożeną Gajdą (II miejsce) i Lublin z Elżbietą Igras (III nagroda). W ramach imprez towarzyszących występuje ze swoim recitalem Wojciech Młynarski. Odbijają się spektakle w Teatrze STU i Teatrze 38.

Piosenki konkursu wyjątkowo szybko stały się własnością wszystkich. Któż nie pamięta: „Aniolowie rąk nie mają, w wielką rozpacz łamią skrzydła”. Tak, to z „Ballady o Violi da Gamba”. W tym roku konkursowi nadano rangę Festiwalu, stąd też w roku 1970, w grudniu, odbywał się już nie konkurs, a VIII FESTIWAL PIOSENKI I PIOSENKARZY STUDENCKICH. Laureatką została Natasza Czarminska z Warszawy. Ewa Tkacz (Kraków) znalazła się na drugim miejscu. Natomiast Edward Licznarski (III nagroda) przyniósł laur środowiskowi gdańskiemu. W konkursie na piosenkę zdobył nagrodę Andrzej Sikorowski z Krakowa („Nowy Rok”), który napisał muzykę i słowa, oraz spółka autorska S. Syrowicz (muzyka) i Katarzyna Lengren (słowa) za piosenkę „Była sobie raz królowa”.

Tyle historii. W relacjach, w przytoczonych faktach trudno oddać klimat i nastrój, trudno dać w miarę obiektywną ocenę. Bezsparnie było wiele ciekawych nazwisk, wiele ciekawych tekstów, kompozycji. Zdarzały się też niewypały, pomyłki w wyrokach Czcigodnego Jury. Niemniej z tej na pewno potrzebnej imprezy coś zostanie. Choćby piosenkarze, którzy przeżywają wprawdzie chwile wzlotów i upadków, ale niejednokrotnie utrzymują się w polskiej czołówce.

Ponieważ jubileusz za pasem, zatem należy spodziewać się po tegorocznym spotkaniu nowych olśnień. Poczekajmy, a zobaczymy; więcej — usłyszymy.

LUDWIK GADZICKI
Rys. E. LUTCZYN

O zatrudnieniu architektów, czyli czego chcielibyśmy oczekiwać

(Dokończenie ze str. 5)
W takich warunkach nie dziwnego, że szybko składa się broń, zmienia ideały. Jeszcze na studiach ma się w nosie samochód, wycieczki zagraniczne, wille, dobrze ubrana żona, chce się wszystkich uszczęśliwić — w dwa, trzy lata po uzyskaniu dyplomu uszczęśliwia się tylko siebie. Przekonanie o swej wyjątkowej misji, o odpowiedzialności, o ogniskowaniu w wykonywanej pracy większości elementów życia jednostki w zorganizowanej przestrzeni — biorą gdzieś wszyscy diabli. I nie wiadomości z projektowania, nie pamięć o najlepszych projektach ze studiów, ale lekcje z budownictwa ogólnego, kosztorysowania, umiejętności kreślarskie, oto za co bierze się pierwsze pensje.

Celowo przejawiam tu znane ogólnie fakty, po to je-

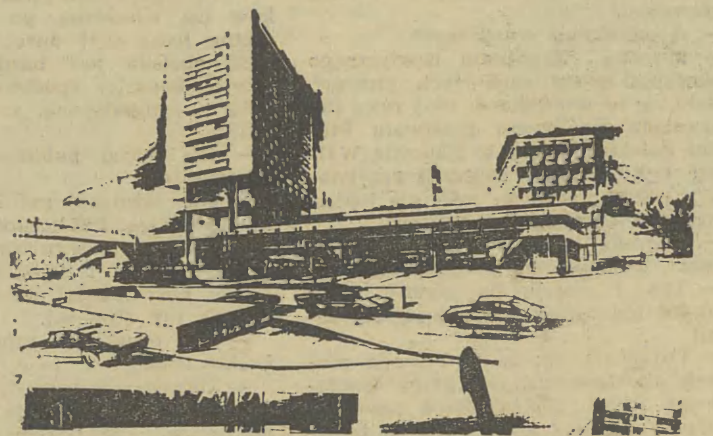
dnak, by bardziej ostro zarysował się ów niewiadomo czy absolutnie niezbędny próg teorii — praktyka. Czy jeszcze stać nas na to, by każdy radził sobie z nim jak może? Czy nie ma możliwości rozwiązań w skali większej niż indywidualna?

Najcięższą szkołą życia są chyba wydziały budownictwa i architektury prezydów rad narodowych, do których trafić można również po dyplomie. Tu zawodu się nie wykonuje, ale wręcz uczy nowego. Przez pierwsze miesiące, rok, drugi, o ile się nie ucieknie z powiatu, zmienia się co można — metodami zakazów i nakazów administracyjnych. Uwikłanie w przeróżne zależności, układy personalno-środowiskowe, pozostawanie wciąż na „cenzurowanym” uczy bardzo szybko kompromisowości. Jednym z efektów tego jest pej-

zaż naszych miast, także „perły” w rodzaju Zakopanego.

Właściwie dwie drogi stoją przed młodym architektem powiatowym: przegrać albo... wyjechać. Dlatego tak mało jest architektów w powiecie, dlatego rotacje kadrowe są tak częste. Nieliczni tylko robią dobrą robotę w terenie, jeśli nie pozostają osamotnieni. Presja, dyktat ograniczeń materiałowych, finansowych itp. — nie pozwalają na realizację Polskiej „szklanych domów”. Ale taka Polska jest nie tylko u Żeromskiego. Takiej wciąż oczekujemy.

Wraz ze spodziewanym wzrostem pozycji zawodu architekta, z zagwarantowanym przez decyzje partii i rządu zaspokojeniem jednej z podstawowych potrzeb naszego społeczeństwa, jaką jest mieszkać znośnie — musi



Fot. B. OPIOŁA

ić troska o to, by zapału, energii, świeżości wyniesionych przez nas ze studiów nie zaprzepaszczają. Dotychczasowe doświadczenia prowadziły ku zniechęceniu, zgorzknieniu, poczuciu daremności wszelkiej dobrej roboty.

Oczekujemy większych wymagań, spodziewamy się większej odpowiedzialności, czekamy na to, by pierwsze nasze stanowiska pracy przyniosły harmonijne dopełnienie tego, czego nauczyła nas uczelnia. Postulowana tylekroć łączność nauki z przemysłem, z praktyką, chyba zacznie się bardziej

widocznie sprawdzać, aż do tego obserwowaliśmy. Anegdotyczne historie o pouczeniu autorów wyróżnionych dyplomów, że „tu, panowie, jest biuro projektowe, a nie zbawianie ludzkości” — niech wreszcie stracą na ostrości, jakiej dodają im aktualność.

JANUSZ KORZEN



Fot. H. WŁOCH



Fot. Z. ŁAGOCKI

Ewa Demarczyk o śpiewaniu, albo o sobie

Wiedziałem — samorzutnie potrafi opowiadać bez końca, szalenie barwnie i zajmująco, ale nie lubi pytań, natarczywości, mówienia o sobie. Lecz cóż, ryzyko podjęte — zaczynamy.

— Nie śpiewasz zbyt często, dlaczego?

— Nie mogę śpiewać — gdziekolwiek. Potrzebuję bezpośredniego kontaktu z widownią. Wyklucza to ogromne sale i mnóstwo ludzi. Dlatego zawsze bronię się przed występami na festiwalach.

— A jednak kiedyś zaczęłaś od festiwalu?

— To prawda, ale wtedy chodziło o coś innego. Chcieliśmy zaprezentować to, co robiliśmy w „Piwnicy”, co nas fascynowało, czym żyliśmy. Nikt wówczas nie śpiewał piosenek do tekstów poetyckich, w dodatku dość trudnych. Innym zamierzeniem była chęć ożywienia pamięci o poetach zapomnianych, np. o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim.

— A od strony muzycznej?

— Muzyka Zygmunta Koniecznego zaskoczyła nawet niektórych jurorów. Działo się to w Opolu w 1963 roku (na pierwszym Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej), kiedy to Panowie Waldorff i Kisielewski zagrozili rezygnacją z udziału w jury, jeśli nie będzie przyznana nagroda Zygmuntovi.

— Nagrodę taką, jak sobie przypominam. Wówczas mu przyznano?

— Tak, i zresztą po jakimś czasie nikt już nie wątpił w słuszność tej decyzji.

— Orientuję się, że niektóre z piosenek skomponowanych przez Koniecznego, które wykonywałaś wówczas w Opolu, śpiewałaś przed Tobą M. Święcicki, a więc chyba właśnie Twoja, pełna siły i indywidualnego wyrazu interpretacja, przyczyniła się do tego sukcesu.

— Trudno mi jednoznacznie na to odpowiedzieć. Na piosenkę zawsze składają się trzy elementy: tekst, muzyka i wykonanie. Wykonanie jest prezentacją pozostałych elementów i

na pewno od niego zależy bardzo wiele. Muzyka Zygmunta wyraźnie mi odpowiadała, niemniej wbrew temu, co się powszechnie na ten temat sądzi, nie pisał on tej muzyki — przynajmniej na początku — specjalnie dla mnie.

— Pierwszy Twój występ przed szerszą publicznością miał miejsce jednak rok wcześniej...

— Tak, na I. Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. Byłam wtedy druga. Jury nie przyznało punktów za muzykę Koniecznego.

— Reakcją publiczności był wtedy żywiołowy protest. Powszechnie uważano wówczas, że werdykt jury jest dla Ciebie krzywdzący. Któs z jurorów powiedział wówczas o „Madonach”, że muzyka „zgwaltowała” tekst. A jak zostałaś przyjęta na festiwalu opolskim?

— W Opolu zdobyłam raczej krytyków niż widzów, po prostu zaskoczenie było zbyt duże, choć publiczność opolska jest bardzo wdzięczna. Wtedy bardziej spodobał się B. Łazuka z sympatyczną, szlagierową piosenką.

— Dla jakiej publiczności śpiewasz najchętniej?

— Nie różnicuję publiczności na lepszą i gorszą. Publiczność „dobiera się sama” i jest to wynikiem określonych zainteresowań i upodobań. W Krakowie tzw. „moją” publicznością byli zawsze np. studenci.

— Jak oceniasz ostatnie festiwale krakowskie?

— Główną ich wartość widzę w tym, że są to przede wszystkim festiwale amatorów, że pozwalają wychwytywać autentyczne, świeże talenty. Festiwale w Opolu i w Sopocie są skomercjalizowane, stały się giełdą znanych i uznanych kompozytorów czy autorów tekstów.

— Jakie znaczenie miał dla Ciebie kontakt z „Piwnicą”?

— Ogromne. Tam się właśnie „wychowałam”. Dużo ciekawych, dziwnych

ludzi, pełnych fantazji i pomysłów. Ich inspiracja, czy sama obecność, wyjątkowy, trochę niesamowity klimat tego „artystycznego” podziemia, wiera w wartość tego, co się robi.

— Piosenkarce, czy pieśniarce uważa się na ogół za outwoczynię. Sądzę, i chyba nie jestem w tym poglądzie odosobniona, że Ty piosenkę tworzysz. Od czego to zależy?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Myślę, że to trzeba czuć, robić to bez reszty...

— Jesteś przecież aktorką. Co w tej mierze daje aktorstwo?

— Na pewno trzeba umieć pokazać to, co by się chciało, ale np. nie wystarczy samemu się rozplakać, aby płakali inni. Obok aktorstwa, właściwego dysponowania środkami wyrazu, zawsze musi to być autentyczne. Jednak samo „wzucie się” byłoby nieporozumieniem, tak jak sama gra byłaby oszustwem. Dlatego nie pozostałam przy teatrze — grać po raz setny któryś tę samą rolę w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu, to właściwie przestać czuć. Schemat, rutyna — tego staram się za wszelką cenę unikać.

— Można więc powiedzieć, że umiejętności aktorskie mają dla Ciebie znaczenie jakoby pomocnicze, usługowe?

— Chyba tak. Lubię widownię, małą widownię wciągnąć, poddać klimatowi, który chce zaproponować, dopiero wtedy mogę naprawdę śpiewać...

— Przed dwoma laty w Sopocie byłem na Twoim recitalu. Publiczność była wtedy jak sterroryzowana, czekała na Twój najmniejszy gest, poruszenie, a przecież to widownia ogromna — jeśli porównać do sal, w których lubisz występować.

— Zaśpiewałam wtedy pięć piosenek i wszystkie one były dobrze podjęte koncertu w tych warunkach. Były to piosenki dużego formatu, jak np. „Wiersze Baczyńskiego” czy „Walc”. Po raz pierwszy na festiwalu zaryzykowałam wówczas włączenie

między te duże utwory kilku małych, kameralnych piosenek. Bardzo obawiałam się tego, ale okazało się, że tak skomponowana całość występu obroniła się nawet w tej nie sprzyjającej sytuacji.

— Rozpoczęłaś wtedy swój występ od „Kotysanki”. Jest to piosenka typowo kameralna, „niefestiwalowa”. Chyba właśnie ta inność w połączeniu z atmosferą intymności, w jakiej utrzymałaś swoje „wejście” na scenę, kazała rozbawionej sopockiej publiczności podporządkować Ci się. Chciałbym jeszcze zapytać, jakie cechy, Twoim zdaniem, wyróżniają ludzi tworzących?

— Myślę, że przede wszystkim wyobraźnia, energia, przekonanie do tego, co się robi.

— U Ciebie to „przekonanie” jest raczej pasją, a poza tym nie stało się to od razu?

— No, na pewno. Dość długo szukałam swego miejsca. Nie od razu także zdecydowałam się kiedyś na studia teatralne, choć i to nie był ten najtrafniejszy — jak się potem okazało — wybór.

— Niektórzy ludzie widzą Cię jako moralną samobójczynię. Co o tym sądzisz?

— Hm, dziwne pytanie... Ale chyba się z tym nie mogę zgodzić. Cóż, na pewno z wielu spraw, i tych osobistych, trzeba nieraz zrezygnować, może także i z siebie w pewnym sensie, ale to już wiąże się z potrzebą niezależności, wyzwolenia. Gdy jestem osaczona przez ludzi czy zdarzenia, przestają być sobą.

— A jaki jest Twój stosunek do ludzi?

— Życzliwy, ludzie mnie fascynują.

— Co jest dla Ciebie najważniejsze?

— Praca, to znaczy śpiewanie, i to, co śpiewania bezpośrednio dotyczy.

Rozmawiał: KRZYSZTOF WOJNAR

„Magazyn Studencki” wydanie specjalne Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich w Krakowie — Rynek Główny 8, tel. 280-45. Redaguje Klub Dziennikarzy Studenckich przy Komisji Propagandy i Informacji RO ZSP w Krakowie
Redaktor techniczny wydania Jan Wacowski